Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 115 (Rok VII, Nr 10) Październik, 1947 Cena (Price) 2/-

ZMAGANIA TRWAJĄ

Z GÓRĄ półtora roku temu, dokładnie w początkach marca 1946 r., nastąpił widoczny, ostry zwrot w taktyce politycznej rządu amerykańskiego wobec Sowietów. Już poprzednio mnożyły się oznaki, że polityka "appeasementu" zbliża się ku końcowi i że w kierowniczych kołach amerykańskich zapadła decyzja stanowczego pohamowania dalszej ekspansji sowieckiej — przy niekwestionowaniu zresztą większości dotychczasowych jej nabytków. Ta nowa linia polityki amerykańskiej proklamowana została w d. 1 marca w przemówieniu ówczesnego sekretarza stanu Byrnesa, poprzedzonym przez bardziej jeszcze stanowcze oświadczenie głównego specjalisty od spraw zagranicznych w Partii Republikańskiej, senatora Vandenberga.

Nie były to czcze zapowiedzi. Kontrakcja Waszyngtonu, stanowiąca zespół działań natury politycznej, finansowej i nawet pośrednio militarnej, dalszy pochód sowiecki istotnie zatrzymała, udaremniając osiągnięcie przez Moskwę wielu jej celów i zamierzeń, których realizacja wydawała się już bliska.

Jednym z nich było opanowanie Persji i jej nafty, przy czym ambicje polityków sowieckich szły tu niewątpliwie w kierunku znalezienia wylotu na Ocean Indyjski przez wypchnięcie Brytyjczyków znad Zatoki Perskiej. Zamiary te sparaliżowane zostały z chwilą, kiedy Amerykanie nie tylko stanęli w obronie pozycji brytyjskich w Iranie, ale i sami poczęli się w tym kraju na dobre gospodarczo i politycznie usadawiać. W rezultacie Rosja usunięta została nawet z Azerbejdżanu, który podporządkowany został znowu rzadowi centralnemu w Teheranie.

Nie mniejszą porażkę poniosła polityka sowiecka w obszarze Morza Śródziemnego. Aspiracje Sowietów szły tu bardzo daleko; przypomnijmy sobie, że na krótko przed opisywanym zwrotem w polityce amerykańskiej zgłaszały one pretensje do mandatu w Trypolitanii, poza tym zaś dążyły do usadowienia się w Dardanelach, zwasalizowania Turcji i opanowania Grecji. Sama Wielka Brytania nie byłaby zdolna tym planom się przeciwstawić — z chwilą jednak, kiedy we wschodnim basenie Morza Śródziemnego pojawiły się amerykańskie okręty wojenne, obfite kredyty i zasiłki oraz gwarancje polityczne, sprawa była i tu przesądzona na niekorzyść Rosji. Jak dotąd, także dzisiejszym władcom Kremla nie udało się zrealizować testamentu Piotra Wielkiego przez zapewnienie Rosji wyjścia na Morze Śródziemne. Uzyskała ona doń dostęp tylko pośredni, przez satelicką Jugosławię i Albanię z ich adriatyckim wybrzeżem, ale i tu plany sowieckie odnośnie Triestu poniosły porażkę.

Podobne zahamowanie ekspansji sowieckiej nastąpiło w rejonie Pacyfiku. Początkowo polityka Waszyngtonu czynna tam była głównie na terenie Chin, od pewnego jednak czasu ośrodek jej zainteresowań przeniósł się do rządzonej przez gen. MacArthura Japonii, która w myśl intencji amerykańskich ma, jak się zdaje, spełniać w odniesieniu do Azji rolę podobną do tej, jaką — w innym oczywiście charakterze i zakresie — odgrywa w Europie Wielka Brytania.

Na terenie Europy Amerykanie, w odpowiedzi na sowietyzowanie rosyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, postanowili łącznie z Brytyjczykami przystąpić do gospodarczej odbudowy Niemiec zachodnich bez dalszego oglądania się na to, co Sowiety będą robiły w swojej strefie. Równolegle z tym poszło poparcie udzielane żywiołom przeciwkomunistycznym w krajach Europy Zachodniej, przede wszystkim we Francji i Włoszech. T. zw. plan Marshalla, przewidujący rozległą pomoc gospodarczą Stanów Zjednoczonych dla kontynentu europejskiego, podyktowany został w równej mierze chęcią odbudowy handlu międzynarodowego, jak dążeniem do pohamowania rozlewającej się do niedawna szeroko fali komunizmu.

Towarzyszy temu "przestawianie" własnej opinii publicznej; w Stanach Zjednoczonych, a w mniejszym stopniu i w Wielkiej Brytanii, pojawia się coraz więcej książek i artykułów, potępiających system i metody sowieckie, na co niedawno tak uskarżał się w Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych przedstawiciel Z.S.S.R. Wyszyński.

Sowiety parują, jak mogą, ciosy amerykańskie. Polityka ich czynna jest z niesłabnącą energią na wszystkich ważnych dla nich terenach: na Bałkanach, w Niemczech, w Persji, Chinach, Korei. W obrębie organizacji Narodów Zjednoczonych (zwłaszcza Rady Bezpieczeństwa i Komisji Atomowej) przedstawicielom sowieckim udawało się do tej pory paraliżować posunięcia anglosaskie, które uważali za niebezpieczne dla interesów Z.S.S.R. — choć nie idzie im już pod tym względem tak łatwo jak na początku. Działalność partii komunistycznych na Zachodzie Europy również nie czyni już takich postępów co poprzednio; na terenie Francji dotychczasowy rozpęd komunistów wyraźnie został osadzony w miejscu (lepiej, jak się zdaje, idzie im we Włoszech). Moskwa, pragnąc powetować swe niepowodzenia na różnych odcinkach zewnętrznych, przyśpieszyła tempo likwidacji wszystkich żywiołów, przeciwstawiających się komunizmowi, w podległych sobie krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Przejawem tego jest śmierć Petkowa, zapowiedziany proces Maniu w Rumunii oraz nowe procesy i wyroki śmierci w Polsce.

Zmagania trwają. Ich świeżym wyrazem jest batalia, tocząca się na Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych i pojedynek słowny między Marshallem a Wyszyńskim. Jak dotąd jednak polityka amerykańska, w większym zaś jeszcze stopniu brytyjska, starannie unikają naruszenia zasady "stref wpływów", ustalonej jeszcze w Teheranie i Jałcie. Przemówienie delegata brytyjskiego McNeila, godzące ostro w pewne metody polityki sowieckiej, zawierało jednak znowu uznanie poczynionych już przez Rosję "rozszerzeń" jej stanu posiadania, choć nie określało ściśle zakresu tych rozszerzeń.

Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: napięcie we wzajemnych stosunkach powiększa się z każdym miesiącem, a równolegle z tym rośnie ekskluzywność i obcość przeciwstawiających się sobie światów. Nie oznacza to oczywiście, by bliskie już było gwałtowne wyładowanie się nagromadzonej elektryczności. Coraz mniej jest jednak oznak, by obecny stan rzeczy miał szanse utrwalenia się na cały dłuższy okres dziejowy.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

POLSKI PROBLEM SPOŁECZNY

(*Dokończenie*)

ZAGADNIENIE KLAS

Czy inteligencja była burżuazyjna czy szlachecka. Z jakiej warstwy pochodził Dmowski. Dlaczego rewolucja komunistyczna odbyła się w Rosji, a nie w Anglii.

WIELKIE przeobrażenie społeczne, które przechodzi społeczeństwo polskie od przeszło pół wieku, a które szczególnej ostrości nabiera w naszych czasach, ma charakter przewarstwienia społecznego. Tu nie sposób pominąć zagadnienia, czym jest współczesna warstwa społeczna, nie będąca prawnie określonym stanem lecz tworem czysto społecznej natury. Od blisko wieku żyjemy pod wpływem efektownego, ekonomicznego określenia klasy społecznej przez Marxa. Podobnie jednak jak "człowiek ekonomiczny" Smitha, tak i "klasa ekonomiczna" Marxa jest fikcją, która popchnęła naukę naprzód, ale, jak większość hipotez naukowych, przeżyła się z rozwojem myśli ludzkiej, przez nią samą przyśpieszonym. Bardzo charakterystyczne światło na to rzuca krajowa dyskusja o inteligencji, omawiana w pierwszej części tego artykułu.

Prof. Chałasiński mianowicie twierdzi, że inteligencja miejska polska była kontynuacją szlachty. Zaprotestowali przeciwko temu rodzimi marksiści. Wedle obowiązującej ich teorii inteligencja musi być związana z kapitalizmem i stanowi część burżuazji. I istotnie, biorąc rzecz ekonomicznie, inteligencja nie miała nic prawie wspólnego z ziemiaństwem, żyła w warunkach ekonomicznych mieszczańskich, najczęściej bezpośrednio lub pośrednio z przemysłu, handlu, finansów. Teoretycznie była ona w położeniu robotnika, żyła z pracy najemnej. Tym niemniej łączenie inteligencji w jedną całość społeczną z mieszczaństwem (co w Polsce znaczy niemal zawsze z drobnomieszczaństwem, bo wielkie mieszczaństwo było bardzo nieliczne) czy też z warstwą robotniczą jest fikcją doktrynerską. Każdy w Polsce wiedział, czy dana osoba należy do inteligencji czy nie. Probierzem nie było stanowisko w procesie produkcyjnym: czy ktoś jest pracodawcą czy pracobiorcą, ani wysokość dochodu, ani posiadanie lub nieposiadanie kapitału, ani nawet wykształcenie formalne. Inteligent mógł być pracownikiem lub przedsiębiorcą, zamożnym lub biednym, mieć ukończone dwa fakultety lub dwie klasy gimnazjum. Istotny był pewien sposób bycia, wyrażania się, pewne obyczaje, potrzeby. Słowem decydował typ życia kulturalnego. Do życia w tym obyczaju kulturalnym potrzebne było pewne minimum wykształcenia, niekoniecznie szkolnego, i pewne minimum środków utrzymania. Czynniki ekonomiczne więc miały wpływ na przynależność do warstwy inteligenckiej, choćby ułatwiając lub utrudniając wykształcenie, nie był to jednak wpływ bezpośredni ani wyłączny.

Inteligencja polska nie była tu jakimś wyjątkowym, zabytkowym dziwolągiem. I w innych mniej "intelektualnych" warstwach społecznych czynnik ekonomiczny nie jest bezpośrednio decydujący. Ten sam prof. Chałasiński, szukając przykładów na dowód, że inteligencja polska powstała drogą degradacji społecznej ze szlachty, cytuje także Dmowskiego, o którym dowiedział się od Giertycha, że miał jednego dziadka podobno zamożnego ziemianina. Chociaż teza zasadnicza Chałasińskiego, nie nowa zresztą, jest na ogół słuszna, ten przykład jest oczywiście naciągany. Gdyby nawet jeden z dziadków Dmowskiego był ziemianinem, to ojciec jego był półanalfabetą, kamieniarzem z przedmieścia, a matka z rodziny najwyżej drobnomieszczańskiej. Wejście zatem Dmowskiego do inteligencji jest oczywistym przykładem awansu społecznego, nie degradacji (jeśli ma sens takie pionowe ustawianie warstw społecznych, gdy w rzeczywistości warstwy społeczne, podobnie jak warstwy geologiczne, układają się najczęściej falisto i skośnie). Zagadnienie to przecież jest interesujące z innego punktu widzenia. Do jakiej klasy należy małopiśmienny przedsiębiorca brukarski, będący do niedawna robotnikiem kamieniarskim i żonaty z córką sklepikarza? Jak rozdzielić drobnomieszczaństwo od klasy robotniczej? Z punktu widzenia ekonomicznego jest on drobnomieszczaninem, ale obyczajowo dzieli go przepaść od kupca z Krakowskiego Przedmieścia. Jeżeli jeszcze żyje w połowie wieku dziewiętnastego w Polsce, będzie bliski chłopu i robotnikowi. I tu działanie warunków ekonomicznych jest tylko pośrednie, decydujący jest typ życia kulturalnego. Ojciec Dmowskiego należał do warstwy, którą w owych czasach można by określić jedynie jako lud miejski. Kulturalne raczej niż ekonomiczne pojęcie różnic klasowych sprawia, że wykwalifikowanego robotnika współczesnego zaliczyć trzeba do warstwy "drobnomieszczańskiej", a nie robotniczej. Interesujące na ten temat były uwagi De Mana.

Do obserwacji nad naturą społeczeństwa ludzkiego nie można podchodzić z aparatem naukowym zoologicznym czy ekonomicznym. Nauką "przyrodniczą" czyli najbardziej zbliżającą do poznania natury człowieka jest psychologia. Niestety psychologia społeczna nie jest jeszcze w pełni rozwiniętą nauką i dlatego socjologia wciąż pożycza metody od innych nauk, co prowadzi do wypaczenia rzeczywistego obrazu życia ludzkiego.

Gdyby o przemianach społecznych decydowały względy ekonomiczne, to przewidywana przez Marxa rewolucja socjologiczna nastąpiłaby w początkach bieżącego stulecia w Anglii, może nieco później w Ameryce. Tam przecież był najwyraźniejszy podział na kapitalistów i proletariuszy, i tam największa koncentracja kapitału w niewielu rękach. Tymczasem rewolucja komunistyczna nastąpiła w Rosji, w kraju, który jeszcze nie był kapitalistyczny, a dopiero co najwyżej przekształcał się z feudalnego w kapitalistyczny, gdzie klasa robotniczna była najsłabsza a koncentracja kapitału niezbyt daleko posunięta. Dlaczego przy silnych kontrastach społecznych robotnik angielski nie był nastawiony rewolucyjnie? Dlaczego poszedł nie na przewrót ale na nieprzewidzianą przez Marxa drogę zmiany podziału dochodu społecznego przez organizację pracowników? Argument, że robotnik angielski miał zbyt duży udział w korzyściach płynących z wyzysku przez Anglię jako całość ludów zamorskich, by chciał osłabiać Imperium i obalać kapitalizm, jest mało przekonywający. Ani przywódcy angielskich robotników w zeszłym stuleciu tak nie rozumowali, ani socjalizm nie wyłącza imperializmu. Musiały być inne przyczyny, które budziły w mieszkańcu "slums'ów" poczucie solidarności z kapitalistą jego kraju, a nie budziły poczucia solidarności "krestianina" z "dwarianinem".

Wydaje się, że główna przyczyna była natury społeczno-kulturalnej. Naród angielski we wszystkich swoich klasach żył jedną cywilizacją, naród rosyjski dwiema różnymi. Bevin, niegdyś furman i robotnik transportowy, nie czuje się jak w innym świecie wśród swoich utytułowanych kolegów. Chłop czy robotnik rosyjski, nawet najzdolniejszy, nie umiałby obrócić się w petersburskim salonie i dlatego wszedł tam z siekierą i zapałkami. Przy większych niż w Europie Wschodniej różnicach ekonomicznych, różnice obyczajowe w Zachodniej Europie były znacznie mniejsze. Zrujnowanego ziemianina polskiego dzieliła przepaść obyczajowa od jego czterech fornali, milionera amerykańskiego czy nawet angielskiego nie dzieli taka przepaść od jego czterdziestu tysięcy robotników. Każdy z nich zaproszony na *tea* do lorda zachowa się mniej więcej swobodnie i mniej więcej podobnie jak gospodarz. I on także używa widelca, je na obrusie, mówi tymi samymi zwrotami towarzyskimi do mężczyzn i kobiet. W Polsce z dwóch, z punktu widzenia europejskiego, biedaków jeden całował panie w ręce, mówił "per pan", jadł widelcem, czytywał gazety codzienne, mył ręce przed jedzeniem, drugi nie. Wydarzenia dnia, jak je podaje prasa, są znane jednakowo od dziesiątków lat robotnikowi i kapitaliście na Zachodzie, źródła informacji i obserwacji robotnika rosyjskiego były zupełnie różne niż u rosyjskiego kapitalisty. Nawet podstawowe pojęcia o świecie mieli inne.

Czynnikiem pchającym narody do wojny, jak przekonywająco dowodzi Chesterton, jest poczucie zupełnej obcości psychicznej. Odnosi się to równie dobrze do wojny domowej jak i międzynarodowej. Tego poczucia niezwalczonej obcości nie było między warstwami społeczeństw anglosaskich, było ono między warstwami społeczeństwa rosyjskiego.

Czy tylko rosyjskiego?

Przed stu laty, jak pisaliśmy w pierwszej części tego artykułu, społeczeństwo polskie składało się głównie, jeśli nie wyłącznie, z dwóch warstw: chłopskiej z nieliczną odroślą robotniczą i szlacheckiej z odroślami inteligencji miejskiej i oficjalistów. Zasadnicza różnica między nimi nie była ekonomiczna ani prawna (przywileje stanowe), ale znowu kulturalna, choć z zamożnością i pochodzeniem powiązana. Były to właściwie dwa społeczeństwa o różnym stroju, obyczaju, nawet moralności. Nie tylko inteligencja miejska żyła cywilizacją szlachecko-międzynarodową, ale nawet słabe, obcego pochodzenia w lwiej części mieszczaństwo podciągało się i asymilowało do szlacheckiego typu życia. Naprzeciw nich był lud w sukmanach i spencerach, czapkujący, czasem rżnący, a zawsze obcy. Taki stan był w Polsce (także zresztą na Węgrzech, Bałkanach, czy w Inflantach) aż po koniec prawie ubiegłego wieku. Taki stan pozostał w Rosji aż do rewolucji.

W Polsce, nie w 1939, ale już w 1914 było inaczej, nie tylko w b. zaborze pruskim, ale w Galicji i w Kongresówce. Nie odegrały tu roli decydującej przemiany ekonomiczne, bo, z wyjątkiem zaboru pruskiego, zasadnicze ramy ekonomiczne nie zmieniły się na ziemiach polskich w końcu ubiegłego stulecia. Musiały być więc inne czynniki, nad którymi warto się zastanowić.

Prawda, że zmiana od ostatniej ćwierci ubiegłego wieku do drugiej ćwierci bieżącego nie była kompletna. Nie osiągnęło społeczeństwo polskie tego stopnia jedności cywilizacyjnej, jaki mają społeczeństwa zachodnie. Tendencje do zakorzenionego wiekami podziału na

"panów" i "chamów" były jeszcze silne, a choć nowe warstwy ten podział przełamały, przecież granica widelca i "panowania" nie znikła nawet w pojałtańskiej Polsce. Tym niemniej, o czym się przekonali bolszewicy, społeczeństwo polskie niezmiernie dalekie jest od społeczeństwa rosyjskiego z r. 1917 i nie można go opanować przez zlikwidowanie cienkiej warstwy górnej, nie powiązanej z masami i żyjącej odrębną cywilizacją. A przecież gdyby bolszewicy przyszli o pół wieku wcześniej, mieliby zadanie podobnie łatwe, jak w Rosji Mikołaja Drugiego.

OBLICZE SPOŁECZNE RUCHU NARODOWEGO

Popławski o dwóch cywilizacjach. Polityka a sprawy społeczne. Droga walki o pełny naród. "Ludowość" i "mieszczańskość".

Marazm polityczny w kraju, powstały po klęsce 1863 roku, został przerwany w późnych latach osiemdziesiątych ukazaniem się pisma *Głos*. W numerze prospektowym tego czasopisma, jakby w charakterze wstępu do jego działalności ukazał się artykuł Jana Ludwika Popławskiego o dwóch cywilizacjach. Popławski wywodził w nim, że w Polsce żyją obok siebie dwie obce sobie cywilizacje: miejska — międzynarodowa i wiejska, i rozwijał głęboko sięgające różnice między nimi. W fakcie istnienia tych dwóch cywilizacji w jednym narodzie widział największe niebezpieczeństwo dla Polski. Rozwijał później te myśli obszerniej, nawracał do nich w innych studiach, jak o Europie murowanej i Europie drewnianej. Łącząc organicznie myśl polityczną i społeczną, cel widział też zarazem polityczny i społeczny. Przewarstwienie społeczeństwa, nadanie Polsce jednolitego oblicza cywilizacyjnego, stworzenie pełnego społeczeństwa narodowego nie było możliwe bez odbudowania państwa. Odbudowanie państwa nie było możliwe bez uświadomienia politycznego masy ludowej i stworzenia wystarczającej funkcyjnie własnej warstwy miejskiej.

Popławski urodził się na kilka lat przed powstaniem styczniowym i wzrastał w tradycji klęski. Klęska polityczna 63 roku odsłoniła straszliwą ranę społeczną i Popławski był jednym z pierwszych, którzy to sobie uświadomili. Powstanie wykazało, że masa ludowa jest politycznie obojętna, że stoi poza politycznie pojętym narodem. Gdyby ten stan trwał nadal, zaborca mógł, porzuciwszy przesądy klasowe i zniszczywszy górną warstwę społeczeństwa, unicestwić naród polski. Dlatego sprawa "narodowej demokracji", zdemokratyzowania społeczeństwa, uświadomienia politycznego ludu, przetworzenia Polaków w nowoczesny naród stała przed wszystkimi innymi. Dziś, po przeszło pół wieku, zapomina się łatwo, że program Popławskiego był nie tylko postawiony ale i został wykonany przez tysiące zapomnianych pracowników społecznych, noszących *Polaka* w "ornatach", zbierających dzieci wiejskie na naukę, krążących po wsiach. Główną część, ogromną część tej pracy dokonała organizacja, której Popławski był jednym z założycieli, "Liga Narodowa" przekształcona później w Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe. Obok niej nad rozbudzeniem i zorganizowaniem warstwy robotniczej pracowała P.P.S., na wsi zaś, zrazu galicyjskiej, pojawił się i niezależny ruch ludowy.

Dziś, kiedy nie można pominąć wielkiej postaci Popławskiego, pojawia się tendencja, najjaskrawiej przedstawiana w kraju, do odcięcia go od Narodowej Demokracji, przepołowienia w czasie i przyszycia "wczesnego Popławskiego" do stanowego ruchu chłopskiego. W istocie Popławski nie tylko był przywódcą ideowym Narodowej Demokracji aż do śmierci, która nastąpiła niedługo przed pierwszą Wojną Światową, ale z samej jego "wczesnej" myśli wynikają konsekwentnie tezy "wczesnego" a nawet "późnego" Dmowskiego i zamierzenia społeczne całego ruchu.

Unarodowienie ludu i oparcie się na kulturze ludowej raczej niż międzynarodowej musiało prowadzić do wyłonienia z tego ludu warstw brakujących, a więc przede wszystkim mieszczaństwa.

Doświadczenia z odmładzaniem inteligencji przez dopływ wprost z ludu w społeczeństwie, nie mającym rodzimej warstwy miejskiej, były Popławskiemu naocznie znane ze stosunków galicyjskich. Dziś w polemice z katolikami krakowskimi prof. Chałasiński nie bez racji pisze, że pochodzenie wielkiej części inteligencji w pierwszym pokoleniu z ludu nie zmieniło charakteru szlacheckości warstwy inteligenckiej, bo nowi ludzie asymilowali się. Można by dodać, że bardzo mało nowego wnosili — i nie ich w tym wina. Przy przepaści kulturalnej istniejącej między chłopem a miastem w Polsce sprzed pół wieku, przepaści niewypełnionej żadnymi warstwami pośrednimi, nie sposób było zachować w mieście obyczaj wiejski, trzeba było przejść z jednej "cywilizacji" do drugiej. To przejście utrudniało, jeśli nie nieumożliwiało, utrzymanie kontaktu ze sferą rodziców. Pan w tużurku był tam obcym, choćby w dzieciństwie pasał krowy w tej samej miejscowości. Istniały nieliczne stowarzyszenia inteligencji pochodzącej z tej samej wsi, nie istniały także stowarzyszenia ludzi pochodzących z jednej wsi w jakichś większych miastach, bo ludzi takich, poza inteligentami, albo nie było, albo byli w obrębie "cywilizacji" wiejskiej w charakterze służby domowej czy stróżów i nic ich z inteligentami nie łączyło. Przewarstwienie drogą uludowienia inteligencji przy nieistnieniu rodzimego mieszczaństwa jest pracą syzyfową.

Popławski był także tym, który nadał polityce polskiej kierunek zachodni. Jego hasło o powrocie "na drogę, którą trzebiły ku morzu krzepkie dłonie wojów piastowskich" miało też swój aspekt społeczny. Poznańskie i w pewnej mierze P morze były jedyną częścią Polski, gdzie z ludu wyszło mieszczaństwo a z mieszczaństwa inteligencja, gdzie nie było "dwóch cywilizacji", gdzie chałupa była murowana, jej wnętrze podobne do małomiasteczkowego, jak małomiasteczkowe podobne było do średniomieszczańskiego, a to nie różniło się od inteligenckiego. W Poznańskim inteligencja żyła z mieszczaństwem, mieszczaństwo z chłopem i bodaj jedna arystokracja z ziemiańskim ogonem pozostawała nieco na uboczu od ogólnego nurtu. Poznańskie było krajem demokratycznym, równie demokratycznym jak Czechy, bardziej demokratycznym od Niemiec. Popławski doceniał tę różnicę między ziemiami zachodnimi a resztą Polski i chcąc Polskę uzachodnić chciał ją upodobnić także pod względem społecznym do ziem zachodnich.

Od ideału nowoczesnego, w pełni rozwiniętego społeczeństwa narodowego do *Myśli Nowoczesnego Polaka* idzie prosta linia. Tę linię można śledzić w rocznikach *Przeglądu Wszechpolskiego* w artykułach Dmowskiego i Popławskiego*). Cel społeczny i polityczny nie rozdziela się u Dmowskiego aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Jeszcze w przededniu wojny wydaje *Upadek Myśli Konserwatywnej w Polsce*. Ogłoszenie bojkotu gospodarczego Żydów ma podwójne, polityczne i społeczne cele na oku. Ten sam społeczny cel, t.j. przygotowanie do wytworzenia rdzennej polskiej warstwy mieszczańskiej przyświeca nie tylko nowej fali bojkotu antyżydowskiego, prowadzonego przez ruch narodowy w odbudowanym państwie, ale i akcji kolonizacji kupieckiej z zachodu na wschód i walce o samorządy miejskie. Nawet zajęcie przez obóz narodowy postawy katolickiej, jakie nastąpiło w pełni pod koniec lat dwudziestych, ma swoją stronę społeczną: jest to przecież przyjęcie najgłębszej podstawy "cywilizacji ludowej", przeciw której to podstawie "cywilizacja miejska" dotąd frondowała.

Ruch narodowy sprawy społecznej, czy w ogóle spraw społeczno-gospodarczych nie wysuwał na front swoich haseł. Na pierwszy plan wysuwał zawsze cele polityczne. Nie była to ani obłuda ani niedocenianie tamtych spraw. Przykład kontrastu stosunków społecznych między Poznańskim a Kongresówką jest niezłą ilustracją tego, jak sprawy społeczno-gospodarcze zależą od polityki. Najważniejszych problemów społecznych polskich nie można było załatwić nie mając zasadniczego i niezastąpionego narzędzia, jakim jest państwo. Można było zrobić wielką robotę przygotowawczo-propagandową ale i niewiele więcej. Nawet w autonomicznej Galicji. Warunkiem realizacji programu społecznego była odbudowa państwa. Na pierwszy więc plan wysuwały się środki wiodące do tego celu w sposób realny, za nimi dopiero mógł iść program czysto społeczny. Podobnie jest i dziś. Wysuwanie na czoło programu społecznego przez ruchy polityczne polskie tak długo nie ma sensu, dopóki Polska podlega rozkazodawstwu Moskwy. Każdy trzeźwy program społeczno-gospodarczy musi być poprzedzony przez dążenie do spełnienia zasadniczego warunku, jakim jest istnienie niepodległego państwa w granicach zezwalających na niepodległość. W innym wypadku pozostaje tylko opór przeciw planowi rosyjskiemu, a w najlepszym razie skręcanie go jak można w kierunku dla Polski nieszkodliwym. Aby robić choćby to tylko trzeba jednak wiedzieć, do czego się dąży, i jaki jest stosunek między własnym programem, stanem faktycznym, zamiarami przeciwnika i samorodnymi tendencjami w społeczeństwie.

Poważny ruch polityczny, choćby wychodził z założeń czysto klasowych, ekonomicznych,

---

*) Pomiędzy stosunkiem Popławskiego do spraw społecznych a takimże stosunkiem Dmowskiego zachodzi pewna subtelna różnica. Popławski pochodził z rodziny ziemiańskiej i w jego stosunku do spraw społecznych jest coś z potrzeby ekspiacji. Stąd odcień serdecznego gniewu do warstw wyższych i kompleks zadośćuczynienia. Ten sam stosunek do spraw społecznych znamionuje prawie wszystkich starszych działaczy lewicowych polskich. Kompleks winy rodzi pewnien ton wewnętrznej demagogii, poszukiwanie radykalizmu dla radykalizmu, co łączy się dziwnie z nastawieniem "społecznikowskim", opartym w gruncie rzeczy na litości i ekspiacji. Pewne rysy tej ekspiacyjno-buntowniczej postawy znajdujemy i u "wczesnego" Popławskiego, niezbyt jeszcze odległego od dworskiego dzieciństwa. Przeciwnie Dmowski, który wychował się na praskim bruku, ma do spraw społecznych stosunek realistyczny i zupełnie wolny od kompleksów. Nie ma stosunku buntowniczego do szlachty, ale raczej wzgardliwie-litościwy: "jak wy nie umiecie grać swojej roli" zdaje się im mówić na każdym kroku. Ma też swoją autentycznie ludową godność: "Niech pan patrzy — mówi kiedyś do ordynata Krasińskiego, stojąc z nim w oknie pałacu na Krakowskim Przedmieściu —, pańskie podwórze brukował mój ojciec przed trzydziestu laty a wygląda jak świeżo brukowane. Co to znaczy porządna robota!" Ten właśnie rzeczowy, pozbawiony kompleksów stosunek człowieka pewnym krokiem przychodzącego "z dołu" raził jego lewicowych, przeważnie ziemiańskiego pochodzenia, przeciwników wyżywających się w radykalizmie, to też uznali go za "mieszczańskość". Na ile był mieszczański, na ile robotniczy, a na ile drobnoszlachecki, któż to zdoła rozwikłać?

dojść musi do programu polityki zagranicznej, narodowościowej czy ustroju władz państwowych. Podobnie ruch wychodzący z czysto politycznych nawet, ogólno-narodowych założeń dojść musi do zagadnień ustroju społecznego. Te dwie rzeczy oddzielić się nie dadzą. Nie znaczy to bynajmniej, by każdy żywy ruch społeczno-polityczny miał mieć charakter klasowy. Ruch narodowy polski jest właśnie przykładem tego, jak niewystarczające są formułki klasowe. Gdy się chce mierzyć tymi, dziś już tradycyjnymi formułkami, wychodzi, że Popławski był przedstawicielem ruchu klasowego chłopskiego, Dmowski mieszczańskiego a (jak stara się udowodnić Chałasiński) Zygmunt Wasilewski — ziemiańskiego. W rzeczywistości wszyscy oni reprezentują ten sam program społeczny: zniesienie podziału na "dwie cywilizacje", wciągnięcie wsi w pełnię życia narodowego przez jej podniesienie polityczne, ekonomiczne i kulturalne, wypełnienie przez wieś luki w organizmie społecznym, spowodowanej brakiem rozwiniętej rodzimej warstwy mieszczańskiej, otworzenie normalnego przepływu społecznego w górę i w dół między wsią i miastem robotniczym, handlowym i inteligenckim, stworzenie jednej cywilizacji.

Byłoby niedorzecznością przypuszczać, że dziś obóz narodowy może dążyć do restytucji stosunków przedwojennych, które zwalczał, że zechce przywrócenia skonfiskowanych kapitałów obcych lub rozparcelowanych majątków ziemskich. Ruch narodowy nie będzie patrzał w przeszłość, ponieważ jego program społeczny ma dane na urzeczywistnienie w przyszłości większe, niż w przeszłości. Stworzenie pełnej, zdrowej, od dołu ku górze rozwiniętej struktury społecznej byłoby rzeczą najnaturalniejszą w chwili obecnej, gdyby nie przeciwdziałanie sztuczne obcego rządu. Gdy ucisk ten ustanie, okazać się może łacno, że program narodowy jest jedynym konstruktywnym i dla całego społeczeństwa zrozumiałym programem społecznym polskim.

W pierwszej części tego artykułu napisałem, że problem inteligencji polskiej nie jest samodzielnym problemem społecznym, że zależnie od wyniku walki, jaka się w kraju toczy, albo nie będzie inteligencji polskiej jako odrębnego czynnika, albo inteligencja nie będzie stanowiła ciekawego problemu społecznego. Jeżeli Sowiety zdołają doprowadzić do tego, żeby nie powstali w Polsce niezależni ekonomicznie chłopi, ani warstwa kupiecko - przemysłowa, żeby byli tylko robotnicy uszeregowani wedle hierarchii kotła i urzędnicy uszeregowani wedle hierarchii donosu, to wyniszczona inteligencja w następnym pokoleniu stanie się częścią inteligencji sowieckiej. Jeżeli natomiast Polska zdoła wytworzyć pełną normalną strukturę społeczną, to inteligencja przestanie być dziwadłem zawieszonym w próżni, utraci wiele cech odrębności kulturalnej, przemiesza się z innymi warstwami nie tylko fizycznie ale przede wszystkim obyczajowo, bo nie będzie tych obyczajowych przepaści, jak nie było np. w Poznańskim. Stanie się także warstwą wiele bardziej związaną z produkcją, z czynnym życiem gospodarczym, Nie znaczy to, że zatraci swoje dodatnie cechy, które teraz jest w modzie przemilczać, jak choćby ideowość niespotykaną w tym stopniu u intelektualistów czy "managerów" na Zachodzie. Znaczy tylko, że przestanie być problemem społecznym, nad którym się wydziwia, który obraca się beznadziejnie między "nadprodukcją" a "szlachetczyzną".

Wytaczany w tej chwili "proces" inteligencji polskiej ma charakter przesłony dymnej, gdy istotna walka toczy się na innym odcinku. Komuniści przed paroma laty mogli sądzić, że wrogiem klasowym i głównym przedmiotem ich ataku w Polsce będą tylko "kułak" i "szlachecki inteligent". W rzeczywistości napotkali na falę idącą z masy, dążącą do stania się polskim mieszczaństwem. Jak wynika ze statystyk przedwojennych zaledwie niespełna dwa miliony Polaków, a więc znacznie poniżej 10% ludności żyło z handlu lub samodzielnego przemysłu**).

Po zniszczeniach wojennych powstała luka mogąca zatrudnić parę milionów ludzi. Było więc rzeczą naturalną, że tam skierował się prąd. Od roku co najmniej trwa planowa walka z tym prądem ze strony komunistycznego rządu. Idzie ona równolegle z walką przeciwko chłopom. Ostatni cykl ustaw ("walka ze spekulacją", "społeczna kontrola cen", zakaz zamykania przedsiębiorstw, ustawodawstwo podatkowe, polityka pieniężna, polityka kredytowa upaństwowionych banków, kontrola spółdzielczości, państwowe składnice hurtowe, państwowe domy towarowe, zakładanie sklepów detalicznych przez fabryki państwowe, zniesienie własności gruntów w miastach i dziesiątki innych zarządzeń) ten właśnie cel ma na oku. Jednakże walka z życiem nie jest rzeczą łatwą. Już sama mnogość rozporządzeń i ostrość represyj oraz ich ustawiczne powtarzanie dowodzi, że przeciwdziałanie temu naturalnemu prądowi sprawia komunistom bardzo wiele kłopotu i że wynik walki, jak dotąd, nie jest jeszcze przesądzony, a opór może co najmniej opóźnić znacznie urzeczywistnienie planów moskiewskich.

W każdym razie nawet urzeczywistnienie ustroju komunistycznego w Polsce będzie na tyle sztuczne i narzucone, że nie przetrwa dłużej niż okupacja czerwona.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

**) Wedle *Małego Rocznika Statystycznego:* rzymskich katolików w przemyśle było jako pracodawców — 174 tys., jako przedsiębiorców nie zatrudniających pracowników — 855 tys., w handlu — 712 tys. Protestantów w tych samych kategoriach przemysłu — 55 tys., w handlu — 40 tys. Razem więc (licząc w tym już i Niemców trudnych do wyodrębnienia) — 1.836 tys. Te same pozycje dla ludności wyznania mojżeszowego dają 1.931 tys. Według stanu z r. 1939 ludność miejska w Polsce stanowiła 27, 7% ogółu ludności, czyli w cyfrach bezwzględnych 8.900.900. Wedle spisu prowizorycznego z r. 1946 ludność miejska stanowiła 31% ogółu ludności, w cyfrach bezwzględnych 7.400.000. Wśród niespełna dziewięciu milionów ludności miejskiej przedwojennej Polski było znacznie ponad dwa miliony Żydów, oraz spora ilość t.zw. mniejszości słowiańskich i Niemców. Ludność miejska polska poniosła w czasie wojny poważne straty, zza Bugu też nie powróciła w całości, a Niemców na ogół wysiedlono. Wynika z tego, że w cyfrze siedmiu i pół miliona obecnej ludności miejskiej jest (nawet uwzględniając przybycie t.zw. autochtonów śląskich) przynajmniej półtora miliona nowej ludności miejskiej pochodzącej w lwiej części ze wsi.

STRATEGIA I TAKTYKA WSPÓŁCZESNEGO KOMUNIZMU

REWOLUCJA JEST CELEM KOMUNISTÓW

CELEM Kominternu i rządu sowieckiego jest zaprowadzenie tyranii komunistycznej na całym świecie, środkiem do tego wiodącym — rewolucja, a cała organizacja Kominternu, opierająca się o Z.S.S.R., zmierza do przygotowania rewolucji, t.j. do pochwycenia przez grupę komunistyczną władzy w poszczególnych państwach drogą zbrojnego buntu.

Program Komunistycznej Międzynarodówki (wyd. 1936) tak tę sprawę objaśnia[1]):

> . . . "zdobycie władzy przez proletariat nie jest pokojowym "zdobyciem" gotowej burżuazyjnej maszyny państwowej przez uzyskanie większości w parlamencie . . . zdobycie władzy przez proletariat jest obaleniem za pomocą gwałtu władzy burżuazyjnej, zniszczeniem aparatu kapitalistycznego państwowego (armii burżuazyjnej, policji, biurokratycznej hierarchii, sądów, parlamentu i.t.d.), oraz zastąpieniem jej przez nowe organy proletariackiej władzy, będącej przede wszystkim narzędziem zgniecenia eksploatatorów" (str. 68-69).

Dążąc zaś do dyktatury proletariatu, "program" tak ją określa:

> "Dyktatura proletariatu jest dalszym ciągiem jego walki klasowej w nowych warunkach. Dyktatura proletariatu jest uporczywą walką, krwawą i bezkrwawą, posługującą się gwałtem i pokojem, walką wojenną i gospodarczą, pedagogiczną i administracyjną, walką skierowaną przeciwko siłom i tradycjom starego społeczeństwa" (str. 92).

A dalej:

> . . . "Komuniści uważają za niepotrzebne ukrywanie swoich poglądów i zamiarów. Oni otwarcie oświadczają, że ich cele mogą być osiągnięte tylko przez gwałt, tylko drogą obalenia całego współczesnego ustroju" (str. 152).

METODY DZIAŁANIA

Mając takie cele i takie założenia programowe, sztaby komunistyczne opracowały odpowiednie metody działania, w ogólnych zarysach podane w programie Kominternu, w rozdziale zatytułowanym: *Strategia i taktyka Komunistycznej Międzynarodówki w walce o dyktaturę proletariatu* (str. 133-152). W rozdziale tym na czoło zostały wysunięte wskazania walki z wszystkimi niekomunistycznymi ideologiami i organizacjami na całym świecie. Następnie wielki nacisk położono na tworzenie światowej zdyscyplinowanej partii komunistycznej i wreszcie, jako warunek zwycięstwa atakującego komunizmu, wysunięto konieczność poddania wpływom komunistycznym "większości członków własnej klasy", a przede wszystkim związków zawodowych, kobiet i młodzieży. Dyktatura proletariatu przewiduje również urzeczywistnienie hegemonii proletariatu (czytaj: komunistów), nad szerokimi kołami mas pracujących (str. 155) i, aby to osiągnąć, komuniści obowiązani są wchodzić jawnie lub tajnie do wszelkich masowych organizacji pracowników fizycznych i umysłowych, pracować tam, zakładać "jaczejki" (zalążki), czyli tajne grupki z kilku osób, oraz starać się urabiać umysły w kierunku wskazanym przez instrukcje Kominternu.

---

[1]) *Programma i ustaw Kommunisticzeskawo Internacjonala. Partizdat CK. WKP (b)*, Moskwa 1936. W cytowanych ustępach słowo "burżuazja" kryje za sobą wszelkie społeczeństwa i narody o ustrojach niekomunistycznych. Słowa "dyktatura proletariatu" w rzeczywistości kryją dyktaturę grupy komunistycznej nad proletariatem i resztą ludności, rządzonej terrorem.

ELASTYCZNOŚĆ TAKTYKI

W tej pracy zdobywania mas komunistów cechuje ogromna elastyczność taktyki, dostosowanej do warunków "terenu". Elastyczność ta polega na stopniowaniu pracy wywrotowej, propagandowej i organizacyjnej. Można by to nazwać "robieniem rewolucji na raty". W zależności od realnych warunków w danym kraju:

. . . "partia określa swoje hasła i metody walki, wychodząc z założenia o konieczności mobilizacji i organizacji możliwie najszerszych mas na możliwie najwyższym poziomie tej walki. Wysuwając szereg przejściowych haseł, przy wytwarzającej się rewolucyjnej sytuacji, i wysuwając szereg żądań częściowych, określanych konkretnymi warunkami (otoczeniem), partia powinna hasła te i żądania podporządkować swojemu rewolucyjnemu celowi opanowania władzy . . . Niedopuszczalne jest zarówno odrywanie się od codziennych potrzeb i powszedniej walki klasy robotniczej, jak i ograniczanie działalności partii tymi potrzebami i powszednią walką. Zadaniem partii jest, wychodząc z tych codziennych drobnych potrzeb, prowadzić klasę robotniczą do rewolucyjnej walki o władzę" (str. 160).

MNIEJSZOŚCI NARODOWE I KOLONIE

Osobne metody podburzania mas zaleca "program" w stosunku do mniejszości narodowych, wśród których popierana jest propaganda rewolucyjno-narodowa i separatystyczna, aby wystąpienia tych mniejszości przeciwko centralnemu rządowi wywołały zaburzenia i stan ciągłych niepokojów. Podobnie w koloniach i krajach "zależnych" działalność agentów komunistycznych ma na celu przysparzanie kłopotów metropoliom, przez popieranie rozruchów i powstań separatystycznych. "Program" tak to formułuje:

"ze strony kompartyj niezbędne jest otwarte przyznawanie koloniom prawa oddzielenia się i propagowanie tego oddzielenia się tj. propaganda niezależności krajów kolonialnych od państw imperialistycznych, przyznanie prawa zbrojnej obrony przed imperializmem (powstania i wojny rewolucyjne), propagowanie i czynne podtrzymanie tej obrony wszelkimi możliwymi środkami. Taka sama linia postępowania obowiązuje komunistyczne partie w stosunku do wszystkich uciskanych narodów" (str. 158).

Akcja wywrotowa komunistów u nas w województwach wschodnich oraz wypadki w Chinach wymownie ilustrują praktyczne zastosowanie powyższych wskazań.

ROLA ROSJI SOWIECKIEJ

Ale mimo takiej "rewolucyjnej wojny", jaką prowadzi Komintern i rząd ZSSR przeciwko wszystkim innym państwom, rząd sowiecki wstąpił do "zgniłej burżuazyjnej Ligi Narodów" i utrzymuje stosunki dyplomatyczne z innymi rządami, nad których obaleniem usilnie pracuje. Wyjaśnił to Stalin, mówiąc publicznie do komunistów:

"Nie wolno nam zapominać słów Lenina, że dużo zależy w naszym dziele od umiejętności odsuwania nieuniknionej wojny ze światem kapitalistycznym do tej chwili, kiedy dojrzeje rewolucja proletariacka w Europie, lub kiedy dojrzeją rewolucje w koloniach, lub też wreszcie do chwili, kiedy sami kapitaliści zaczną się między sobą bić . . . Oto dlaczego utrzymanie stosunków pokojowych z krajami kapitalistycznymi jest dla nas koniecznością[2].

Program twierdzi z dużą słusznością, że państwa niekomunistyczne "ciągle się wahają między interesami handlu (z ZSSR) i obawą rozwoju ZSSR, — rozwoju, który oznacza rozwój międzynarodowej rewolucji" (str. 129). I dlatego rząd ZSSR "manewruje i stara się wykorzystać ekonomiczne stosunki z krajami kapitalistycznymi, w granicach korzyści dla ZSSR" (str. 128) dla wzmocnienia własnego przemysłu i własnego socjalistycznego budownictwa.

Gdy nadejdzie chwila "dojrzewania" światowej rewolucji komunistycznej, stosunki te z innymi krajami okażą się już niepotrzebne.

NOWY CHWYT TAKTYCZNY

Na wybuch tej światowej rewolucji komunistycznej liczył Komintern i rząd sowiecki od szeregu lat. Skoro jednak do roku 1935 nadzieje te nie urzeczywistniły się, gdyż narody o starej europejskiej kulturze potrafiły się akcji rozkładowej i wywrotowej komunizmu oprzeć, to przyczyny niepowodzeń starannie rozważano w Kremlu, opracowano nowe dyrektywy, zwołano VII Kongres Komunistycznej Międzynarodówki do Moskwy i polecono partiom komunistycznym stosowanie nowego chwytu taktycznego. Jest nim t.zw. "jednolity front proletariacki" (o ile obejmuje tylko komunistów i socjalistów), lub "antyfaszystowski front ludowy" (gdy ogarnia wszystkich antyfaszystów).

Celem tej nowej taktyki jest mobilizacja jak największej ilości czynników o światopoglądzie materialistycznym (socjaliści, socjaldemokraci, radykali różnych odcieni, wolnomyśliciele i.t.p.) do wspólnego uderzenia na panujący ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy, którego obalić komuniści własnymi siłami nie byli w możności. Przy tworzeniu "antyfaszystowskiego frontu ludowego" komuniści nic nie mówią o swoich celach ostatecznych, rewolucyjnych, lecz starają się wysuwać hasła wspólne, licząc na dalszy rozwój wypadków nieuniknienie idących po rewolucyjnej pochyłej, jeśli by raz udało się wspólnymi siłami zmobilizować masy przeciwko panującemu ustrojowi.

Dalszym rozwojem tej taktyki jest t.zw. taktyka "frontu demokratycznego" będącego próbą zgrupowania wspólnie z komunistami (występującymi jawnie lub tajnie) żywiołów lewicowych, t.zw. demokratycznych.

Taktyka wszelkich jednolitych frontów z komunistami jest pomyślana jako wielkie polityczne oszustwo mas. Sami komuniści o tym tak piszą:

. . . "Zawsze walczyliśmy o wolności demokratyczne . . . bo chcemy zdobyć *lepsze warunki* dla zorganizowania klasy robotniczej i mas pracujących, bo chcemy zdobyć lepsze warunki dla poprowadzenia tych mas do walki o socjalizm. Nie ukrywamy ani na chwilę, że zdobycie socjalizmu jest niemożliwe bez powalenia burżuazji, *bez dyktatury proletariatu urzeczywistnionej w tej formie, jak to uczynili bolszewicy* . . ." (cytujemy wg. komunistycznego pisma *Nowy Przegląd*, nr. 9/83, str. 870; podkreślenia nasze).

. . . "Antyfaszystowski front ludowy, to metoda walki, a nie parlamentarnych przetargów . . . Rząd frontu ludowego nie ma nic wspólnego z rządem koalicyjnym. Jego celem jest złamanie siły i panowania kapitału i obszarnictwa". (*Nowy Przegląd*, nr. 9/83, str. 870).

. . . "My, komuniści, mamy inne niż te partie *cele ostateczne*" (Z przemówienia Dymitrowa na VII Kongresie o partiach, wciągniętych do frontu ludowego).

Tak tedy w założeniach swoich front wspólny z komunistami z góry przewiduje oszukanie chwilowych sojuszników komunizmu.

Ale komuniści opierają się na tezie, że głupota ludzka nie ma granic i ostatnio posunęli swoją taktykę jednolitego frontu do "wyciągnięcia ręki" pod adresem . . . katolików, jak to np. ma miejsce we Francji. Encyklika "o bezbożnym komunizmie" stawia tej obłudy taktyce zdecydowaną tamę.

BEZPOŚREDNIA SYTUACJA REWOLUCYJNA

Wszystkie wysiłki propagandowe i organizacyjne kierowników komunizmu, wszystkie taktyczne posunięcia mają zawsze na celu wytworzenie bezpośredniej sytuacji rewolucyjnej. "Program" tak te sprawy formułuje:

"Gdy istnieje rewolucyjny nastrój, gdy klasy panujące są zdezorganizowane, gdy masy znajdują się w stanie rewolucyjnego fermentu, gdy masy są gotowe do wystąpień i ofiar — przed partią . . . staje zadanie prowadzenia ich do bezpośredniego ataku na państwo . . . To osiąga się drogą propagandy wciąż zaostrzających się haseł przejściowych (hasło sowietów, robotniczej kontroli nad produkcją, hasło chłopskich komitetów dla zabrania ziemi dworskiej, hasło rozbrojenia burżuazji i uzbrojenia proletariatu itd.) i organizacją masowych wystąpień, którym winny być podporządkowane wszystkie odgałęzienia partyjnej agitacji i propagandy, również i parlamentarnej. Do tych masowych wystąpień zalicza się: strajki, łączenie strajków z demonstracjami, wreszcie strajk generalny łącznie z zbrojnym powstaniem (buntem) przeciwko państwowej władzy . . . Ostatnia najwyższa forma walki opiera się ma prawach sztuki wojskowej, wymaga planu wojennego, ofensywnego charakteru operacji bojowych, bezwzględnej wierności i bohaterstwa ze stony proletariatu. Takie wystąpienia obowiązkowe uwarunkowane są organizacją szerokich mas w bojowych zgrupowaniach, których forma obejmuje i wprowadza w ruch możliwie największą ilość pracujących (sowiety robotniczych i chłopskich delegatów, żołnierskie sowiety tj. rady itp), oraz wzmocnioną rewolucyjną robotą w armii i flocie" (str. 161-162).

Mamy więc tu odsłonięty cały plan użycia mas ludowych, zupełnie nieorientujących się, ku czemu pchają je agitatorowie komunistyczni, — do wojny domowej, do pójścia przeciwko własnemu państwu, a w zaborczym interesie obcego państwa.

TERROR

Komunistyczna doktryna terroru pozostaje niezmieniona, mimo zmiany osób w Kominternie i rządzie sowieckim. Jej istotę oświetlają następujące cytaty:

. . . "Kto nie uznaje terroru — pisze Trocki w swej książce *Terroryzm i komunizm* (str. 26) — t.j. sposobów zdławienia i zastraszenia kontrrewolucji, ten musi się wyrzec politycznego panowania klasy robotniczej i jej rewolucyjnej dyktatury". "Rewolucja wymagała od klasy rewolucyjnej osiągnięcia celu wszystkimi środkami, którymi ona rozporządza: jeżeli trzeba zbrojnym powstaniem, jeżeli trzeba — terrorem. Zastraszenie jest potężnym środkiem polityki i międzynarodowej i wewnętrznej . . . Rewolucja zabija jednostki, zastrasza zaś tysiące . . ." . .

. . . "Dyktatura partii komunistycznej utrzymuje się przez uciekanie się do wszelkiego rodzaju przemocy" (str. 71).

. . . "My reprezentujemy zorganizowany terror . . . My nie znamy łaski" (Dzierżyński).

(*Dokończenie na str.* 6)

---

[2]) Stalin w *Correspondance Internationale* z dn. 14. 12. 27 r., str. 1893.

JAN ADAMUS

HISTORIA I POLITYKA

I

W POLSCE historycy ostatniego półwiecza mało się zajmowali teorią, czy też metodologią swej nauki, jako też jej dziejami. Wolano pisać historię, niż na temat pisania dziejów deliberować. Sądzę, że nie doceniano wagi owych deliberacji dla samego dziejopisarstwa.

Tymczasem ostatnio życie nagle zapukało i natychmiast zażądało egzaminu z owych deliberacji. Zdaje się, iż historyk polski trochę do tego egzaminu zasiada nieprzygotowany.

Ale przypatrzmy się samemu egzaminowi.

Pierwsze z wieku i urzędu miejsce należy się *Kwartalnikowi Historycznemu*, którego pierwszy zeszyt powojenny niedawno się ukazał. W obszernym słowie wstępnym redakcja pisze: "jako historycy czujemy potrzebę uświadomienia sobie naszego obecnego stosunku do historii, bo czujemy, że i tu niepostrzeżenie dokonała się w nas i w dalszym ciągu dokonywa się głęboka zmiana w zapatrywaniach . . ."

Mógłbym obszernie streścić zapatrywania redakcji, ale trudno tego dokonać krótko. Rozmaite teorie stoją obok siebie, aż do wzajemnej sprzeczności. Np. w jednym miejscu potępia się "erudytów biurkowych", naukę dla nauki, i stawia wysoko historię pojętą jako "służbę społeczną i dla dobra społeczeństwa". A nieco dalej postawiono wymóg obiektywizmu zdefiniowanego w następujący sposób: trzeba się "wyzwolić od tych więzów, jakie na nasze myślenie i rozumienie, a zwłaszcza odczuwanie nakłada nasza narodowość, przynależność do tej lub innej grupy społecznej, religii, partii itd." To już przecież nie "służba społeczna".

Józef Sieradzki (Na progu rewizji, *Kuźnica* nr. 100-101 z 7. VIII. 1947) jest niezadowolony z tej "skąpej deklaracji" w ogóle. Pomiędzy innymi nie jest zadowolony z takiego zdania redakcji "Kwartalnika": "A równocześnie *z zewnątrz* (podkreślenie Sieradzkiego) dochodzą do nas *coraz częściej* (podkr. moje) nawoływania do rewizji naszych poglądów na przeszłość dziejową naszego narodu . . ." Sieradzki dodaje autorytatywny komentarz:

"*Z zewnątrz* należy rozumieć jako określenie środowiska, od którego dziejopisarstwo nie może, nie powinno odrywać się, zamykać we wieży z kości słoniowej".

Nie czytałem artykułu Wereszyckiego z wyznaniem wiary historycznej, zamieszczonego w *Dziejach Najnowszych, Kwartalniku Instytutu Pamięci Narodowej*. Jednakże p. Sieradzki jest i tutaj niezadowolony, chociaż by dlatego, iż redakcja, zamiast wyłożyć *ex officio* swoje stanowisko, zleciła to indywidualnemu autorowi: "Ale ten nieodzowny, zdawałoby się, warunek, obowiązek wyłożenia teoretyczno-naukowego credo redakcji . . ." Dlaczego takie "wyznania" mają być "obowiązkiem" redakcji, nie mogłem zrozumieć. Wyobrażam sobie, iż przeciwnie prędzej czegoś ciekawego możemy oczekiwać od autora interesującego się zagadnieniami teoretycznymi, niż od redaktora, który może się nimi nie bardzo interesować.

Jedno przecież zdanie Wereszyckiego znajduje uznanie surowego krytyka. Brzmi ono: "Impuls do rewizji historycznej — stwierdza dr. Wereszycki bardzo trzeźwo — przychodzi nie od historiografii, ale od historii samej". "Historia sama" znaczy mianowicie to samo, co w *Kwartalniku Historycznym* owe "z zewnątrz".

Sam p. Sieradzki od siebie poucza nas, czego chce: "Trzeba recepcji materializmu historycznego, który nie ma równej sobie teorii socjologicznej wśród wszystkich kierunków i szkół historycznych. Trzeba rewizji rozległej i wszechstronnej, nie tylko *dyktowanej przez nowy układ polityczny*, lecz polegającej na uznaniu nowej postawy poznawczej z pełnym świadomości akceptowaniu jej potrzeby". Chwali prof. Rutkowskiego za wzmiankę o materializmie dziejowym. "Z tego miejsca widać już placówki, na których stanie myśl badawcza, od których rozpocznie swe dzieło wzniesienia nauki historycznej na poziom świadomości nowego stadium kultury, na szczebel prawdziwego, współczesnego postępu".

Czyżby p. Sieradzki wyobrażał sobie, że uformowani historycy mogą z dnia na dzień przetworzyć pojęcia o swym fachu? W Rosji po rewolucji październikowej przez długie lata, a może po części i do dzisiaj, istniały dwa tory: jeden *Istorika-Marksista*, a drugi ogólno-historyczny. Komuś zależało tam na tym, by zmieniając szyld "historia" na inny z napisem "historia marksistowska", nie zgubić dość ważnego słowa "historia".

Zatem w Kraju "życie" i to "z zewnątrz" żąda od polskiego historyka egzaminu z teorii historii. Ta ostatnia (już bez reżyserii "życia") przyszła też do historyków polskich przebywających w Londynie. Teoria przyszła tutaj z paru najnowszej daty książek angielskich. Jak ongiś braliśmy wiele z Paryża, tak zapewne teraz z Londynu. Nie jest wyłączone iż przy tym uznajemy za *made in England* towar wyprodukowany w Niemczech, który mogliśmy bezpośrednio sprowadzić z Lipska, bez pośrednictwa Londynu. W ciągu ostatnich co najmniej 70 lat myśl teoretyczna niemiecka zdecydowania przodowała światu. Collingwood był niewątpliwie wybitnym teoretykiem historii, ale w części też dlatego, iż umiał korzystać ze swych poprzedników niemieckich. Zresztą kwestia, w jakim języku przychodzi myśl do nas, jest całkowicie drugorzędna. Ważniejsze jest nieco, czy korzystamy ze źródeł pierwotnych, czy też pochodnych.

Idzie o pierwszy zeszyt *Tek Historycznych*, mających ambicję stania się organem historyków polskich w Wielkiej Brytanii. Redakcja nowego pisma postanowiła dać nam "numer metodologiczny". Ambicja taka jest oczywiście chwalebna, ale — powiemy wprost — karkołomna. Nieliczna garstka historyków polskich tutaj ma dać od razu cały zeszyt metodologii, podczas gdy przed wojną redakcja *Kwartalnika*, opierająca się o rzesze historyków, była zadowolona, jeśli mogła dać co parę lat już nie recenzję, ale proste sprawozdanie z jakiejś obcej książki teoretycznej. Postęp nie chodzi siedmiomilowymi butami i dlatego nie bez obawy oczekiwaliśmy pierwszego numeru *Tek*, a dzisiaj chcielibyśmy dać wyraz nadziei, iż nowe pismo nie rozbije się z miejsca na rafie metodologii. Ambicja jest piękną rzeczą, ale jeszcze piękniejszą jest ambicja miarkowana rozsądkiem, no i trochę znajomością rozmaitych niebezpieczeństw, czy też trudności.

Interesują nas w *Tekach* tylko dwa artykuły, a raczej nawet części z nich. Oba bowiem poruszają niejedno zagadnienie, podczas gdy my się zajmujemy jedynie stosunkiem historii do życia.

Gen. Kukiel przyjmuje zdanie Collingwooda, że historyk patrzy "z punktu widzenia własnej" cywilizacji i "jeśli nie posiada jakiegoś punktu widzenia, niczego w ogóle nie dostrzeże", a zmienia to na wymóg: historyk nie powinien być "głuchy i obojętny na potrzeby życia. Jest w służbie teraźniejszości". Przypomina to wspomnianą już "służbę społeczną" historii, ale w tym ujęciu może się godzić z wymogiem prawdy: prawdą można służyć teraźniejszości. Podobnie, gdy "historyk staje się pisarzem politycznym. Idzie o to, by w tym, co o przeszłości pisze, pozostał historykiem, a jeśli służy propagandzie, by zgodnie ze swym naukowym sumieniem pisał wedle swego najlepszego rozumienia prawdę w obronie dobrej sprawy".

Drugi autor, dr. Oppman ostro stawia poza nawias historii nie tylko propagandę, ale nawet i publicystykę historyczną. Historia zależy od kultury i "każda kultura 'tworzy' swoją historię", n.p. "światopogląd 'kapitalistyczny' cechować musi inny aspekt historyczny, niż światopogląd 'socjalistyczny' ". Przecież za tym weszła tu i polityka. Zwłaszcza, że na "tragiczne pytanie", czy historia jest nauką czy też sztuką, autor odpowiada: "Historyk nie tyle może odtwarza przeszłość, ile tworzy przeszłość". Sztukę trudniej uchronić od przemiany w propagandę, niż naukę.

Ze wszystkich wspomnianych autorów tylko jeden p. Sieradzki staje bez omówień na gruncie jednej teorii (przynajmniej jej nazwy, bo w jego artykule poza nazwą *Materializm dziejowy* znajdujemy chyba tylko równie ogólnikowe zachwyty.) Natomiast u wszystkich innych autorów cała trudność polega na pogodzeniu przeciwstawnych sobie teorii. Jak dawniej, mamy skłonność do pewnego eklektyczmu w teorii.

Słowo "eklektycyzm" jest raczej przynależne do teorii czy też filozofii, a nieznane prawie w historii. I istotnie historyk z racji swej metody jest szczególnie skłonny do "eklektycyzmu". Konkretność zjawiska to nieskończona ilość aspektów, nieraz ze sobą sprzecznych, a mimo to w historii niewykluczających się nawzajem. Dlatego też historyk często przez rysowanie coraz bardziej zygza-

---

(*Dokończenie ze str.* 5)

. . . "90% ludu rosyjskiego może zginąć, byle by do chwili rewolucji światowej pozostało 10%" (Lenin).

. . . "Terror jest podstawą władzy sowieckiej" (Biełoborodow, współpracownik Dzierżyńskiego).

. . . "Wszyscy jesteśmy czekistami" . . . (Stalin).

Na komunistycznej doktrynie terroru i jej okrutnym przeprowadzaniu oparta jest cała władza komunistyczna w Rosji. Wszystkie cytowane powyżej wypowiedzi naczelnych władz komunistycznych należą do niezbyt dawnej przeszłości, jak rzekomo do przeszłości należy Komintern. Tym ciekawsze jest porównanie obecnych akcji komunistycznych w świecie ze sztabowymi założeniami taktyki. Czasy obecne są po prostu świadkiem realizacji kolejnych zadań światowego komunizmu.

Dążeniem rządu sowieckiego jest rozpowszechnienie tej dyktatury na cały świat. A drogą do tego wiodącą jest rewolucja społeczna, świadomie przygotowywana i eksploatująca nieświadomość mas ludowych.

A.R.

kowatych linijek zbliża się do wyczerpania historycznej rzeczywistości.

Natomiast filozofia operuje abstrakcją, co jest równoznaczne z wyrywaniem z rzeczywistości możliwie najmniejszej ilości aspektów. Postęp myśli filozoficznej często polega (wręcz odwrotnie od historycznej) na coraz większym oddalaniu się od konkretu oraz od różnolitości, a natomiast osiąganiu przez coraz większą abstrakcję coraz większej jasności i prostolinijności, pokrywającej zawsze pewne aspekty rzeczywistości.

Dlatego też historyk myśli na ogół gorzej w kategoriach teorii. Tylko wyjątkowe natury, jak Max Weber, czy też Fr. Meinecke, potrafią równie dobrze pracować obu metodami. Takiego operowania obu metodami historyk musi się mozolnie i długo uczyć, jeśli chce uniknąć z jednej strony zabicia pierwiastka historycznego na rzecz teoretycznego, albo też z drugiej pierwiastka teoretycznego, na rzecz historycznego. Jednym susem nie uda się nam osiągnąć tego stanu. W tej chwili musimy być cierpliwi i mozolnie nadrabiać zaniedbania dawniejsze.

II

Teorię historii, pojętej nie jako cel dla siebie, ale jako wyraz żywych sił teraźniejszości i służbę życiu, — stworzył Nietzsche (*Vom Nutzen und Nachteil der Historie für das Leben*, 1873-1874). Działo się to okresie najsilniejszej — zdawałoby się — wiary w naukowość historii, gdy niemieckie wzory naukowej historiografii poczęły podbijać świat (n.p. Monod we Francji, a w Polsce Liske).

Jednakże pojawienie się rozprawy wielkiego filozofa niemieckiego było już oznaką, że coś zaczyna się psuć w państwie duńskim. Meinecke wiąże genetycznie początki obecnego kryzysu historii ze zwycięstwem niemieckim w r. 1871, które zrodziło w umysłach historyków niemieckich wrażenie jakiejś pustki. (O tych i innych poglądach Meineckego najlepiej pisze E.N. Anderson: *Meinecke's Ideengeschichte and the Crisis in Historical Thinking*, w *Medieval and Historiographical Essays in honor of J. W. Thompson*, Chicago, 1938).

Początkowo historycy nie byli bardzo skłonni przyjąć opinii Nietzschego. Przeciwnie utrzymuje się wśród nich jeszcze długo silna wiara w obiektywizm historii. N.p. wielki francuski historyk Fustel de Coulanges potępia zaraz po wojnie 1870-71 związanie niemieckich historyków z życiem. Fustel jest przekonany, iż obiektywizm osiąga historyk łatwo pod warunkiem ścisłego trzymania się źródeł. Wiara ta łączy się u niego prawie z utożsamianiem historii z historykiem: "to nie ja mówię, to przeze mnie mówi historia". Otóż bodaj w tym ostatnim tkwi nasz problem. W każdym razie to utożsamianie historyka z historią wieść mogło do szkodliwej fikcji, która otwierała szeroko wrota najskrajniejszemu subiektywizmowi połączonemu (jak kto wolał) czy to z "erudycją biurkową", czy też ze "służbą społeczną".

Na przełomie wieku XIX na XX wydawało się, iż nareszcie znaleźliśmy rozwiązanie problemu. Wielkie nadzieje wiązano z Mommsena "historią bez założeń", czyli "badaniem . . . , które nie służy innym, leżącym poza nauką praktycznym celom". Ogłaszając tę teorię, Mommsen wiedział, że "brak założeń każdego naukowego badania jest idealnym celem, do którego zmierza każdy sumienny człowiek, którego wszakże nikt nie osiąga ani nie może osiągnąć" (*Universitaetsunterricht und Konfession*, mowa z r. 1901).

Sam Mommsen zamanifestował *ad oculos* niemożliwość swej teorii. Swoją *Historię Rzymu* pisał przecież z doktrynalnym założeniem: chciał pokazać wyższość rządów jednostki. Ideałem jego był Cezar, ale też zasadniczo na nim zakończył swoją historię. Wydawca niedawnej bolszewickiej reedycji tłumaczenia "Historii" wyjaśnia to faktem, iż historia cesarstwa rzymskiego wprost przeczyła założeniu Mommsena. (Nawiasowo warto zauważyć, iż w Rosji bolszewickiej pomimo wszelkich różnic uznano za wskazane przypomnieć bolszewickiemu społeczeństwu to arcydzieło; liczy się tam widocznie nie tylko marksistowska historia).

Katoliccy historycy niemieccy z oburzeniem odpierają pomysł, jakoby byli oni kiedykolwiek historykami bez założeń (*Histor. Jahrbuch*, t. 53, 1933, str. 280), a to im wcale nie przeszkadza zdobyć n.p. jedno z najwyższych miejsc w badaniu średniowiecza.

Pokrowskij też stworzył kierunek o bardzo wyraźnych założeniach i ostro wystąpił przeciw "szkole obiektywnej". Ze wszystkiego, co on i jego szkoła napisali, to jedno wydaje się trwać bez zmian.

Historii nie robi widocznie ani wolność od założeń ani też odwrotnie założenia, ani "erudycja biurkowa", ani też "służba społeczna". To wszystko są tylko dodatki, ozdoby, akcydensy. Istotę historii czujemy natomiast dość dobrze, i bez tego wyczucia, którego często trzeba się uczyć bardzo długo, żadna teoria nie będzie nawet zrozumiała. Każda z nich bowiem zakłada i stawia przed sobą obraz takiej historii, jaką w danej epoce teoretyk ma przed oczyma. Teoria ta zatem przy tworzeniu jakiejś nowej historii winna być używana ostrożnie i . . . umiejętnie.

Porównajmy historię do organizmu, którego człowiek nie umie stworzyć, a umie niesłychanie łatwo zniszczyć. W organizmie działa — powiedzmy — jakiś tajemniczy *elan vital*, podczas gdy w historii jakiś nieledwie równie tajemniczy *elan* historyczny. Operacje obu tajemniczymi organizmami wymagają po pierwsze dużej wiedzy, a ponad to czegoś nieuchwytnego, co nazywamy uzdolnieniem, intuicją, czy też szczęśliwą ręką. Operacje podobne w Polsce są jeszcze o tyle trudniejsze i ryzykowniejsze, że trochę zaleźeliśmy pola teorii, że się najpierw jej będziemy musieli po trochę uczyć. A uczyć się będą musieli nie tylko starzy historycy, ale także młodzi radykalni reformatorowie.

III

Dawna wiara, że historykowi jest łatwo osiągnąć obiektywizm, przeminęła. Na ruinach dawnych teorii czasami plenił się nieszczery pseudo-obiektywizm, będący niczym innym, jak skrajnym hyper-subiektywizmem. Był to dogmatyzm związany z wielkimi nazwiskami, a nawet i małymi. Jest to tylko jedna więcej z oznak kryzysu historii.

Myśl teoretyczna szuka wyjścia, n.p. dużo zdaje się obiecywać staranie o ścisłe opisanie granic historii i przez to zarazem granic obiektywizmu historyka. Odpowiadałoby to nastawieniom niejednego z nowszych badaczy metodologii ogólnej.

Ciekawą szczególnie próbą, wyszłą nie od filozofów, lecz od historyków, jest próba dojścia nie do absolutnego obiektywizmu, ale do wyższego tylko stopnia obiektywizmu, poprzez teorię subiektywną. Jest to całkiem możliwe, jeśli — jak to zaznaczyliśmy — odwrotnie teoria obiektywna może wieść w wykonaniu do hyper-subiektywizmu. Dlaczego nie miałoby się udać odwrotnie dojść do obiektywizmu poprzez teorię subiektywną?

Historycy ci godzą się z faktem, że elementy historii wdzierają się raz po raz do historii. Nie tworzą ani nowej teorii, lecz ograniczają się do badania monograficznego. Badanie pewnego problemu rozpoczynają od zbadania dziejów stosunku historyków do danego problemu. Idzie nie tylko o najnowszych historyków, ale równie dobrze i najstarszych, skoro wszyscy na równi podlegamy działaniu tych samych metahistorycznych czynników. Przez to badanie możemy zakwestionować rozmaite, nieraz bardzo stare dogmaty historyczne. Okaże się, że jakieś doktryny filozoficzne, wydające się ongiś nie ulegającą wątpliwości prawdą, lub też "naukowe" doktryny ekonomiczne czy też inne, atmosfera ogólna lub też gospodarcza albo polityczna pewnej epoki itd. tworzyły nam pewne dogmaty historyczne.

Uwolnieni tą drogą od nadmiernej czci wobec starych koncepcji historycznych szukamy wtedy znacznego zbliżenia do rzeczywistości historycznej poprzez możliwie doskonałe i ciągle udoskonalające się metody badania historycznego. Z poprzedniego studium powstawania dogmatów historycznych wynosimy żywe poczucie, jak trudnym jest terenem historia. Dlatego też stosowane obecnie metody są szczególnie ostrożne, szczególnie staranne przemyślane i udoskonalone.

Co najmniej w historii instytucyj powstał swego rodzaju rewizjonizm historyczny, zmierzający nielekkomyślnie do osiągnięcia wyższego stopnia obiektywizmu. Patronują temu ruchowi wielkie nazwiska Belowa i Dopscha.

Ten sam człowiek, który stał się wyrazicielem obecnego kryzysu historii, Meinecke pisze o tym okazyjnie: "Właśnie musiano torować drogę nowemu rozumieniu historii . . . , wychodząc z głębszego przeżywania i rozumienia duszy ludzkiej. W szczególny sposób przejście poprzez subiektywizm prowadziło nowszą myśl historyczną do tego stopnia obiektywizmu, jaki w ogóle jest możliwy dla umysłu ludzkiego" (*Histor. Zeitschr.*, t. 150, 1934, str. 318 n.).

Rozumieją to też inni. N.p. H. S. Holt godzi się łatwo z myślą, że okres "naukowej historii" może się skończyć. Napewno dawne pojęcia muszą być zmienione, lecz "skoro historycy muszą rozważać naturę fundamentów, na których spoczywają ich historyczne konstrukcje, musi z tego wyjść koniecznie bardziej udoskonalona nauka" (*The Idea of Scientific History in America*, *Journal of the History of Ideas*, vol. 1, 1940, str. 362).

Zapewne jakieś odgłosy tego ruchu dotarły i do Polski i bardzo pośpiesznie zostały recypowane. Powstał "rewizjonizm historyczny" i "odbronzowywanie", oba pomysły szukające popularności i dlatego dość krzykliwe. Lecz oba nie wyszły z podobnych nastawień, jak tamten wielki rewizjonizm. Nie zmierzały one do większego stopnia obiektywizmu, ani też do udoskonalenia metod badawczych. Słowo "rewizja" otoczyła u nas osława i używanie go z upodobaniem przez p. Sieradzkiego wydaje się prawie niezręcznością.

Otóż do tylu innych trudności przybywa jeszcze jedna, skoro czasami teoria płata figle mimowolne: teoria obiektywna prowadzi do subiektywizmu, a odwrotnie teoria subiektywna do obiektywizmu. Nawet historyk musi się na tym terenie poruszać w okresie kryzysu i przepoczwarczania się historii niezwykle ostrożnie. Tylko zgrozą muszą przejmować próby zabierania się do tych operacji (lekkim sercem, a ciężką ręką) ze strony administracji czy też publicystyki.

JAN ADAMUS

ZBIGNIEW ABDANK

NASZE MIEJSCE

(*Dokończenie*)

OBRAZ*) Europy, niezdolnej do zrealizowania pokoju i stabilizacji zwycięstwa takim wysiłkiem osiągniętego nie mógł przyczynić się do ugruntowania wiary, że nowy politycznie obszar — Europa Środkowa — znajdzie oparcie, a z czasem wrośnie w całość Europy.

Stąd bardzo powierzchowna jest krytyka stosunków, jakie tam panowały. Zarysował się tam naprzód problem sojuszników niemieckich z czasu wojny: Bułgarii i Węgier. Oba te państwa utraciły, w wyniku wojny, obszary i wpływy, do których posiadania były przyzwyczajone. Zainteresowane w zmianie istniejących stosunków szukały oparcia poza granicami Europy Środkowej i, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa ekspansji niemieckiej, wiązały swe nadzieje z rewizjonizmem Berlina.

Zagrożone z dwóch stron Czechy zainicjowały wtedy Małą Ententę, która na długie lata związała politykę czeską, rumuńską i jugosłowiańską z wewnętrznymi zagadnieniami obszaru, odwracając szkodliwie uwagę opinii publicznych narodów od niebezpieczeństw zewnętrznych.

Litwa, której samoistność narodowa wymagała cieplarnianej zaiste atmosfery, dążyła wszelkimi sposobami do posiadania Wilna, co równało się wspólnej granicy litewsko-sowieckiej. Wobec posiadania już za sąsiada Niemiec, było rzeczą oczywistą, że naród ten nie był i nie jest zdolny do roli izolatora takich dwóch potęg.

Węgrzy, Bułgarzy i Litwini przekonali się dowodnie w czasie ostatniej wojny o rozbieżności celów rewizjonizmu niemieckiego z ich interesami narodowymi. Węgrzy nie otrzymali z rąk niemieckich Bratysławy, Bułgarzy Salonik, a z Wilna prezenty Litwinom robili Niemcy i Rosjanie tak natarczywie, że w Kownie ze strachu przestawano mówić po litewsku.

Za głębokie — za daleko idące i za rewolucyjne były przemiany, jakie za sobą przyniosła Pierwsza Wojna Światowa, by narody środkowo-europejskie od razu zrozumiały swe wspólne interesy i wspólne zagrożenia. Brak było jeszcze perspektywy. Widziano tam rzeczy na końcu własnego nosa, ale robić z tego tytułu wyrzut mógłby tylko ktoś, kto sam patrzył daleko i widział jasno. Niestety nauczycieli takich nie było tam, gdzie ich szukać chciano, — na Zachodzie. Perspektywę zdobyły te narody dopiero ciężkimi ofiarami ostatniej wojny.

Kolejna okupacja niemiecka i sowiecka uświadomiła nie tylko im, ale i całej Europie konieczność niezależności od wpływów Moskwy i Berlina, co za tym idzie potrzebę solidarnego stanowiska wobec Niemiec i Rosji.

Potrzeba ta była należycie rozumiana od początku przez politykę polską, czyniącą wszystkie wysiłki, by zharmonizować interesy międzymorza bałtycko-czarnomorskiego i wyeliminować sporne sprawy sąsiedzkie. Warunkiem jej wstępnym było oparcie stosunków państw środkowo-europejskich z Niemcami i Rosją na zasadzie dobrego sąsiedztwa, wyłączającego agresję. Służyć temu celowi miały pakty nieagresji, zawierane z Rosją i Niemcami. O ile, dzięki wysiłkom dyplomacji polskiej, udało się stworzyć taką wspólną podstawę na Wschodzie i doprowadzić do jednolitych w metodzie i czasie wystąpień Estonii, Łotwy, Polski i Rumunii, to na Zachodzie dynamizm polityki niemieckiej, zręcznie rozgrywający spór czesko-węgierski, uniemożliwił takie osiągnięcia.

Stawka zaś była nie byle jaka. Chodziło o skonsolidowanie obszaru stanowiącego 32% terytorium Europy (bez Rosji) i obejmującego prawie 30% ludności. Cyfry te dotyczą stanu z roku 1937 i wskazują że Niemcy i Austria stanowiły wówczas zaledwie 1/4 tego obszaru i 67% jego ludności.

W stosunku do Rosji relacja była prawie odwrotna, gdyż europejski jej obszar przewyższał prawie czterokrotnie terytorium państw środkowo-europejskich, choć górował ludnością zaledwie o 12%. Cyfry te uległy obecnie dużym zmianom. Są jeszcze korzystniejsze jeśli chodzi o Niemcy, natomiast przewaga terytorialna i ludnościowa Rosji zarysowuje się widoczniej. Ale cyfry te miały, a w każdym razie powinny były mieć swoją wymowę i przed wojną 1939 roku. Tymczasem historia zabiegów dyplomatycznych z okresu między dwiema wojnami stwierdza, że państwa zachodnie uważały Europę Środkową w najlepszym razie za piorunochron, za kanał służący do odprowadzania nadmiaru energii niemieckiej.

To było pierwsze fałszywe założenie polityki Locarna i jego epigonów. Ale ta sama chęć kierowania polityką innych zamiast prowadzenia własnej, którą stwierdziliśmy w stosunku do Niemiec, istniała i w stosunku do Rosji.

W myśl jej życzeń, Rosja miała skrwawić Niemcy a przy tej okazji i siebie — i nie dawać więcej znaku życia o sobie.

Może za daleko idą ci, którzy twierdzą, że Zachód z całym rozmysłem dopuścił do rozbudowy potęgi militarnej hitleryzmu, przekonany, iż obróci się ona wyłącznie ku Rosji. Ale to pewne, że byli tacy statyści na Zachodzie, którzy bardzo sobie wojny niemiecko-rosyjskiej życzyli i nie wątpili ani na chwilę, że nie żadna ze stron wojujących, ale oni właśnie — z za biurka — tę wojnę wygrają.

I w rezultacie Rosja wjechała do Europy na anglosaskich czołgach. Wjechała nawet do jej centrum, co nie przeszkodziło jej równocześnie usadowić się na Wyspach Kurylskich, w Mandżurii i Mongolii i spenetrować rozległych obszarów północnych Chin. Razem z ekspansją równoleżnikową wznowiony został nacisk sowiecki w kierunku południkowym. Zadania pod adresem Iranu, Turcji i Grecji, pretensje do Islandii, odparte zostały jedynie za cenę wpuszczenia tam Stanów Zjednoczonych. Polityka kierowania ekspansji niemieckiej na Wschód kulminujaca w pomocy udzielonej Niemcom, w dziele likwidacji Czechosłowacji i nieobecności Zachodu w wojnie polsko-niemieckiej w 1939 roku, doprowadziła do okupacji całej Europy przez Niemcy. Ceną wyzwolenia spod okupacji niemieckiej było z kolei zastąpienie jej okupacją sowiecką z jednej, a amerykańską z drugiej strony.

W ten sposób bieżąca polityka europejska sprowadza się do dwóch alternatyw: czy utrzymać istniejący podział Europy na te dwie strefy okupacyjne, nazywane eufemicznie "sferami wpływów", czy też dążyć do objęcia całej Europy jedną z nich i którą mianowicie. Alternatywa trzecia — alternatywa jedynie europejska —, jak uwolnić Europę od okupacji przez mocarstwa pozaeuropejskie, w ogóle nie jest brana pod uwagę.

Przyjął się powszechnie pogląd — rzekomo z doświadczenia płynący —, że Europa nie zdolna jest do rozwiązania swych problemów własnymi siłami. Powołuje się przy tym na Pierwszą Wojnę Światową, w której pokonanie Niemiec bez udziału Ameryki nie byłoby możliwe. Zapomina się jednak o tym, że obszar niemiecki (t.zn. państw centralnych) już w momencie rozpoczęcia tej wojny obejmował prawie całą Europę Środkową i że "rosyjski walec parowy" okazał się wtedy spróchniałą kłodą. Pomorze i Śląsk nie wchodziły w skład 35-milionowego Państwa Polskiego, a polskie dywizje zdobywały nie Monte Cassino i Falaise, ale Verdun i Liège; przemysł czeski nie pracował przeciw Niemcom, ale nie było dla nich milionowej bitnej armii jugosłowiańskiej, tylko uboga i mała Serbia; fortyfikacje Dardaneli broniły flanki Niemiec.

Rola militarna Rosji w Pierwszej Wojnie Światowej organiczyła się do odciążenia w ciągu pierwszych tygodni zagrożonego frontu we Francji. Dalszy jej udział posiadał całkowicie podrzędne znaczenie. Jedna Polska spełniła tę rolę wydatniej w roku 1939, dając aliantom zachodnim pół roku czasu na dozbrojenie, mimo, iż przymierza obronne — w przeciwieństwie do roku 1914 — nie zostały przez Francję i W. Brytanię wykonane.*)

Świadczenie przyjazne na rzecz Finlandii w czasie najazdu sowieckiego na ten kraj w roku 1940 przekraczały znacznie pomoc udzieloną Polsce w wojnie 1939 roku.

Podczas gdy Pierwsza Wojna Światowa wybuchła równocześnie na obu krańcach Niemiec (sc. "państw centralnych"), to druga rozegrana została, wskutek perfidnych kalkulacji czy też po prostu fałszywej gry, w ten sposób, że Niemcy wyeliminowały kolejno całą Środkową Europę, obejmującą siedem państw, zanim przystąpiły do rozgrywki właściwej. Jeżeli wysuwa się dziś na Zachodzie wątpliwości co do potencjału obronnego obszaru, położonego między Niemcami a Rosją, to można i należy wskazać na całkowite bankructwo odporności zachodnich sąsiadów Niemiec. Wyraziło się ono między innymi i w tym, że ofensywa niemiecka równie szybko doszła przez Polskę do granic Rosji, jak przez Francję co brzegów Atlantyku. Nie wspominamy już, że Holandia została okupowana w ciągu pięciu dni, a wojska angielsko-francusko-belgijskie zostały wyparte z Belgii w ciągu dni jedenastu.

Jeśli zatem dyskusja na temat możliwości sparaliżowania agresji niemieckiej przez narody europejskie w ogóle ma doprowadzić do celu, to trzeba powiedzieć, że dyskwalifikowanie narodów środkowo-europejskich na rzecz Rosji ma tę samą wartość, co dyskwalifikowanie narodów zachodnio-europejskichh na rzecz Stanów Zjednoczonych.

W polityce europejskiej kompleksy odegrały złowrogą rolę.

---

*) Jest to druga część artykułu *Nasze Miejsce*. Autor na wstępie charakteryzuje położenie Europy po I. Wojnie Światowej.

*) Mówimy wykonane, bo mobilizacje, wypowiedzenie Niemcom wojny i ulotki propagandowe były niewątpliwie wyrazem chęci wykonania sojuszu, ale nie były jego wykonaniem.

Zadowolenie krótkowzrocznych polityków francuskich po klęsce wrześniowej, która potwierdziła ich opinię o słabości sojusznika polskiego, zostało skompensowane bez reszty osłupieniem polityków polskich po klęsce czerwcowej Francji, która obaliła ich zaufanie do sojuszu francuskiego.

Takimi bezwartościowymi dyskryminacjami nie zbuduje się Europy.

Jest to zadanie tym trudniejsze, że — jak widzieliśmy — nawet geograficzna definicja Europy napotyka na trudności. Podczas gdy my wraz z wszystkimi naszymi sąsiadami z północy i południa uważamy się za jej część integralną, narody zachodnio-europejskie wydają się uważać granice wschodnie naszego kontynentu za płynne. Raz — jak to miało miejsce w czasie rewolucji rosyjskiej — wysyłały korpusy ekspedycyjne do Murmańska i Odessy, protestując przeciw niewygodnym im rządom na dalekich stepach Europy, innym razem dyskutują korzyści podziału Europy na dwie części, z których terytorialnie większa miałaby dzielić losy Azji. T. zw. kurtyna żelazna jest łatwo przenośna. Niestety inicjatywa w tej sprawie — najistotniejszej sprawie europejskiej — pozostawiona jest czynnikom pozaeuropejskim.

Jeśli pominąć względy geograficzne i klimatyczne, które ograniczają Europę na Wschodzie do linii, łączącej Morze Bałtyckie z Czarnym, to historia poucza nas, że spośród ludów europejskich dwa jedynie — Rosjanie i Turcy — złączyli swe losy z innym kontynentem, z Azją. Połączenia afrykańskie stanowiły dla narodów śródziemnomorskich zawsze jedynie nabytki typu kolonialnego.

Wszystkie inne narody z wyjątkiem tych dwóch żyły i żyją, rozwijały się i rozwijają wyłącznie w Europie. Ich tedy prawem i ich obowiązkiem jest budowla europejska. Wszystkie wojny i spory, jakich widownią był ten "półwysep azjatycki", nie wpłynęły zresztą w w niczym na fakt, iż choć najmniejszy obszarem spośród kontynentów, był i jest on nadal ośrodkiem twórczości białego człowieka. Bez wiedzy europejskiej, bez myśli, bez pracy kwalifikowanej Europejczyka cywilizacja nasza jest nie do pomyślenia.

Dlatego żaden wielki naród zachodniej kultury nie może się od Europy izolować. I dlatego osłabienie wpływów europejskich, brak europejskiej inicjatywy i pracy na skutek dwóch wojen ostatnich zamiast spowodować pogłębienie się nastrojów izolacjonistycznych w Ameryce wywołał przeciwnie wzmożone zainteresowanie sprawami naszego kontynentu w obu Amerykach. Podobny proces obserwujemy w eurazjatyckiej Rosji. To, co różni Uzbecy i Kirgizi zobaczyli w zniszczonej Europie, pozostanie im na pewno na zawsze w pamięci i wbrew woli dzisiejszych władców wywoła zainteresowanie dla Starego Świata.

Tak więc przystępując do organizacji a raczej odbudowy Europy pamiętać musimy o fakcie, że dzieło to nie może i nie zostanie dokonane tylko naszymi rękami i tylko naszą wolą.

Gdyby zagadnienie europejskie sprowadzało się wyłącznie do zapewnienia bezpieczeństwa przed wrzątkiem niemieckim, dałoby się ono rozwiązać w ramach własnych. Ale prócz dynamizmu niemieckiego istnieje jeszcze dynamizm rosyjski. Przeciwstawienie się im z osobna, a tym bardziej połączonym, przekracza siły i możliwości narodów europejskich. Zbudowanie bariery antyniemieckiej jest obecnie możliwe. Niemcy są obecnie zdruzgotane, przyrost naturalny niemiecki należy do przeszłości, odbudowa pomieszczeń i przemysłu pochłonie na taki okres energię niemiecką, że apatia ogarnia ten naród i prężniejsze jego elementy szukają przyszłości za oceanami, w obcych krajach.

W tych warunkach sąsiedzi Niemiec dominują potencjalnie nad nimi i tylko od ich dobrej woli zależy niedopuszczenie do nowego podpalania świata z tej strony. Centralne jednak położenie Niemiec powoduje, że wszystkie prawie większe narody europejskie są ich sąsiadami, to też zaangażowanie się ich w tym kierunku wyłącza inne zadania. Takim zadaniem jest w pierwszym rzędzie bezpieczeństwo od strony Rosji.

W okresie między dwiema wojnami zadanie to ograniczało się jedynie do izolowania dwóch, ale nie przejawiających żadnych agresywnych tendencji światów. Z jednej strony "budownictwo socjalistyczne" rozwijało się zgodnie z tezą Stalina "w jednym kraju", z drugiej zaś postępowała odbudowa i rozbudowa gospodarstw narodowych krajów sąsiadujących z Rosją. Ponieważ chodziło tu o państwa niewielkie i przeważnie świeżo powstałe, po obu stronach granic, ciągnących się zresztą od Morza Białego wzdłuż zachodniej granicy sowieckiej do Morza Czarnego i stąd wzdłuż granicy azjatyckiej Rosji, trwała praca konstruktywna niepozostawiająca miejsca na intrygi zaczepne.

Rosji doskonale wiadome było, iż żadne niebezpieczeństwo nie grozi jej że strony tych sąsiadów, których potencjał gospodarczy i przestrzenny nie pozwalał na jakiekolwiek plany agresywne. Tak też było w istocie i cały wysiłek dyplomatyczny tych państw skierowany był ku oparciu stosunków sąsiedzkich z Rosją na zasadzie paktów o nieagresji, które by wyłączyć miały cień podejrzeń co do solidarnej woli wszystkich sąsiadów. Trzeba przyznać, że Rosja sowiecka ze swej strony wykazywała dobrą wolę i jej to inicjatywie państwa sąsiadujące zawdzięczają uzupełnienie tych dokumentów umową określającą napastnika. Wydawało się dlatego, że na horyzoncie wschodnim bezpieczeństwo środkowo-europejskich było ustabilizowane i że energia ich może być skierowana ku Zachodowi.

Jest też faktem historycznym, że dopiero podpalenie Europy przez Niemcy hitlerowskie wyprowadziło armię sowiecką poza granice Rosji. Może nie całkowicie jałowe byłoby zaryzykowanie hipotezy, że bez agresji niemieckiej nie byłoby agresji sowieckiej na Polskę, Finlandię i państwa bałkańskie. Hipoteza taka, poza cechami prawdopodobieństwa wynikającymi zarówno z psychozy defensywnej przed "interwencją kapitalistyczną" jak i z rosnącego przed tą wojną w Rosji nacisku na wzmożenie spożycia wewnętrznego, ma tę wartość, że dowodzi możliwości i celowości granic między Europą a Azją. Tłumacząc dlaczego trwał pokój dwudziestoletni na granicy Traktatu Ryskiego uprawdopodabnia się jego odbudowę.

Jeżeli zarówno Stalin, jak Truman zgodni są dziś co do tego, że nie różnice w systemach gospodarczych Wschodu i Zachodu prowadzą do wojny, ale że napastliwe przenikanie doktryn przeciwnika podważa i jednostronnie zmienia wzajemny stan posiadania, to jedynym praktycznym wyjściem z sytuacji jest izolowanie sfer wpływów. Jeśli wyłączy się styk przeciwnych dążeń, jeśli rozgraniczy się je obszarem niezainteresowanym w rozwoju konfliktu, to poważnie zmniejszy się zagrożenie pokoju. Taki stan rzeczy właśnie istniał na granicach europejskich Rosji przed wojną 1939 roku i — jak dowodzi polityka sowiecka ówczesna — odpowiadał jej interesom. Dopiero zmiana nie metod, ale celów tej polityki spowodowała przerwanie przez nią tamy i wlanie się imperializmu rosyjskiego do Europy. Polityka sowiecka własnoręcznie i świadomie zburzyła podstawy swego bezpieczeństwa na granicy europejskiej i stworzyła nowy, groźny dla Europy, ale i dla niej samej stan rzeczy.

Jest rzeczą oczywistą, że narody środkowo-europejskie same nie mogły ani mieć wpływu na przeistoczenie polityki sowieckiej, ani też nie były i nie są zdolne jej zahamować. Na zmianę polityki sowieckiej wpłynął decydująco fakt, że Kreml przestał się liczyć z interwencją kapitalistyczną z chwilą, gdy świat demokratyczny stanął wobec decyzji Niemiec przekształcenia Europy drogą wojny. Izolacja Rosji — dodajmy izolacja własnowolna — skończyła się i wiadome było, że droga dla niej do stanięcia po jednej lub drugiej stronie jest otwarta. Narody środkowo-europejskie zaś nie były zdolne zahamować ekspansji sowieckiej, gdyż właśnie chwila jej powstania pokrywała się w czasie z bezpośrednim zagrożeniem ich niepodległości przez Niemcy. Obrócone twarzą ku Niemcom, niezdolne były jednocześnie do paraliżowania burzy od Wschodu.

W ten sposób przez lat dwadzieścia narody środkowo-europejskie, izolując samym swym istnieniem potencjalny dynamizm sowiecki od kinetycznego niemieckiego, odwlekały moment zetknięcia się tych sił a zatem moment katastrofy, która po jego nadejściu nastąpiła. Katastrofa ta zostawiła po sobie tylko ruiny. Wobec tych ruin stoimy dzisiaj.

Nie może być, prosta rzecz, mowy o rekonstrukcji stanu sprzed roku 1939. Nie tylko dlatego, że odwróciły się kierunki i agresja idzie dziś ze Wschodu, podczas gdy Zachód jest chwilowo sparaliżowany, nie tylko dlatego, że stosunek sił niemieckich i rosyjskich uległ gruntownej zmianie, ale dlatego przede wszystkim, że zagadnienie sprowadzenia Rosji do jej granic stało się nie zagadnieniem europejskim, ale światowym.

Rosja "budująca socjalizm w jednym kraju" posiadała szereg drobnych sąsiadów na zachodzie i południu i zagrożenie terytorialne istniało jedynie od strony Japonii. Rosja dzisiejsza graniczy z całym światem w stopniu nieporównanie wyższym niż do tego były zdolne Niemcy hitlerowskie w zenicie swego organizacyjnego rozkwitu. Można by nawet powiedzieć, że Rosja nie graniczy z całym światem, ale *jest* w całym świecie. Z tą chwilą sprowadzenie jej do jakiegokolwiek niezaludnionego pasa granicznego — jak to lubiła czynić przed wojną — jest niemożliwe.

Jest to szczególnie niewykonalne własnymi siłami narodów środkowo-europejskich, żyjących na opanowanym militarnie przesmyku geograficznym, łączącym rdzeń Europy ze stepem eurazjatyckim, a zatem tak łatwym do obrony przez Sowiety.

Państwo sowieckie zdobyło prawa eksterytorialne na całym świecie. W miarę wzmagania się wpływów komunistycznych w poszczególnych państwach wśród poszczególnych grup narodowych rozszerza się zakres suwerenności sowieckiej, powiększa się obszar, na którym decyduje władza sowiecka. Zasada terytorialna, odpowiadająca interesom budowy socjalizmu w jednym państwie, została zarzucona na rzecz zasady ponadterytorialnej, odpowiadającej interesom władztwa komunistycznego w świecie.

Skoro współcześni "wyznawcy proroka" zdecydowani są nawracać "współczesnych giaurów" siłą, nic nie upoważnia nas do przypuszczenia, że zrezygnują oni ze swych poczynań pod wpływem innych przyczyn, jak te, które skłoniły ongiś Turków do wycofania się z Europy.

Przyczynami tymi były — jak wiadomo — opór zewnętrzny z jednej strony, a rozkład wewnętrzny z drugiej. To pierwsze zjawisko wystąpiło natychmiast, na drugie zaś trzeba było czekać kilka wieków. Nie znaczy to oczywiście bynajmniej, by tak miało być i dzisiaj, gdyż nie mając do czynienia z taką samą przyczyną możemy oczekiwać tych samych skutków. Ponad to wielka istnieje różnica między zwartością ówcześnie zagrożonego świata chrześcijańskiego a obrońcami

wolności indywidualnej choć zelanci półksiężyca i sierpu i młota mniej się od siebie różnią. Pewne jest tylko to, że nowi zdobywcy stanęli mocną nogą w Europie opanowawszy przesmyk bałtycko-czarnomorski, tak jak stanęli mocną nogą Turcy w Europie po zdobyciu Konstantynopola. Jesteśmy obecnie bezsilnymi świadkami zalewania centrum Europy przez falę komunistyczną. Geograficzna i cywilizacyjna tama, jaką była granica Traktatu Ryskiego, została zerwana paktem Ribbentrop-Mołotow. Ręce hitlerowca i bolszewika połączyły się w stworzeniu dokumentu, który najpierw pozwolił Niemcom zniszczyć Rosję, a potem Rosji stratować Niemcy. Wydaje się jak gdyby te dwie wielkie masy przyciągały się z jakąś siłą fatalną — jak gdyby podlegały prawu fizycznemu. Ilekroć jednak w historii do tego zetknięcia doszło, czy to było w roku 1914 czy 1941, kończyło się katastrofą dla jednej i drugiej strony. Politycy tej miary co Bismarck i Gorczakow należeli do wyjątków, z reguły zaś Niemcy mieli do czynienia z Wilhelmami II i Hitlerami. Mesjanizm rosyjski miał znowu wyznawców nie tylko wśród Sazonowów i Izwolskich, ale i Wyszyńskich i Mołotowów.

Jeśli przyjąć można, że Niemcy po doświadczeniach ostatniej wojny odwrócą swe zainteresowania od Wschodu, gdzie otwarła się przed nimi przepaść, która ich do głębi przeraziła, to nic nie upoważnia nas niestety do przypuszczenia, że Rosji odeszła ochota do zbliżenia do Zachodu.

Budowa systemu bezpieczeństwa z tej strony przez narody z Rosją sąsiadujące nie może dać rezultatu z tego choćby powodu, że trzeba by objąć wspólnym systemem trzynaście państw, które — poza Stanami Zjednoczonymi — z państwem tym sąsiadują. Są to wszystko narody nieliczne, jeśli abstrahować od Indii i Chin, których liczebność nie stanowi bynajmniej siły.

Brak jakichkolwiek powiązań między tymi narodami uniemożliwia poprostu wszelką w tej materii inicjatywę. Nawet jednak oparcie stosunków sowieckich wzdłuż całego pogranicza na zasadach nieagresji czy gwarancji wzajemnych sąsiedzkich nie stworzyłoby żadnej wartości realnej, a tylko dokumentarną. Byłoby to okrążenie Rosji, drażniące ją, a nie przynoszące żadnej korzyści słabym sąsiadom, doświadczenie bowiem uczy, jak nikłe jest zrozumienie odległych sprzymierzeńców dla starego rzymskiego ostrzeżenia *hodie mihi, cras tibi*.

Myśląc o zagadnieniu bezpieczeństwa i niepodległości nie tylko Polski, ale i całego obszaru środkowo-europejskiego, nie możemy ani chwili zapominać, że stanowi ono zaledwie jeden kołek w płocie, stanowiącym o bezpieczeństwie Rosji. Kołków takich jest wiele cała Środkowa Europa nie stanowi bynajmniej najważniejszego. Z punktu widzenia Rosji obecność Stanów Zjednoczonych w Islandii, Niemczech, Grecji, Turcji, na Bliskim Wschodzie, w Chinach i Japonii, nie mówiąc już o całej granicy północnej, stanowi niewątpliwie groźne okrążenie i — zależnie od stosunków wzajemnych — stanowić może poważne zagrożenie. Rosja zatem usiłuje rozerwać ten pierścień, tam przede wszystkim, gdzie udało się jej tego dokonać już w związku z wypadkami wojennymi. Rosja czeka z opróżnieniem terenów przez siebie okupowanych na moment opróżnienia przez Amerykanów terenów przez nich "spenetrowanych".

Zamiast jednak asystować wycofywaniu się jednej ze stron, zamiast zwężania się się "sfer wpływów" jesteśmy świadkami zjawiska przeciwnego. Te "sfery wpływów" mają widoczną tendencję zbliżania się ku sobie, sztandar amerykański coraz częściej sąsiaduje ze sztandarem sowieckim.

W świecie, na który patrzyliśmy w dzieciństwie, było jeszcze miejsce dla wielu polityk i dla wielu niepodległości. Wydaje się, że dzisiaj skurczył się on do tego stopnia, iż w Białym Domu i na Kremlu zaczynają mieć wątpliwości, czy starczy w nim miejsca dla nich obu.

Szczególnie drażliwa jest oczywiście sytuacja państw żyjących na pograniczu tych mocarstw. W. Brytania, korzystając ze swego względnego oddalenia od tych centrów, usiłuje jeszcze prowadzić coś przypominającego w smaku politykę niezależną. W smaku ale nie w treści. Żadne inne państwo nie jest obecnie zdolne do realizowania swych narodowych postulatów. Żadne inne państwo nie prowadzi dziś polityki zagranicznej tak jak było to rozumiane jeszcze przed wojną.

Jeśli jednak Stanom Zjednoczonym i Sowietom udało się zredukować wszystkie inne państwa do roli bezwładnej masy, to nie potrafiły one zawłaszczyć całego ogromnego obszaru, który nie jest jeszcze własnością ani Waszyngtonu ani Moskwy. Cały ten obszar (powiedzmy to ku zgorszeniu odległych ziem i kontynentów) uważany jest przez obie te stolice za *no man's land* — za niczyj t.zn. za nadający się do opanowania.

Przesunięcia w stanie posiadania na tym obszarze są dla stosunku ich sił wzajemnych decydujące. Proces ten trwa i można przewidywać, iż potrwać może długo. Wiele jest jeszcze ziem nie zawłaszczonych. W Europie walka toczy się o Francję i Włochy, w Azji o Chiny i Indie, w Afryce o świat arabski. Jedynie Ameryki i Australia wydają się już mieć proces ten poza sobą. Póki proces ten trwa, wojna nie jest konieczna. Ale jeśli trwa, to musi doprowadzić do ścisłego rozgraniczenia stanu posiadania, po czym już tylko wojna — jedynie wojna — zdecyduje o panowaniu bez zagrożenia przez stronę drugą. Takie są perspektywy "pokoju", którym się cieszymy.

Z tego procesu nie jesteśmy w stanie wyodrębnić Polski. Nie są w stanie tego również uczynić inne narody środkowo-europejskie. Ale z tego samego procesu nie są w stanie wyodrębnić się setki milionów ludności wszystkich kontynentów.

Wywłaszczanie ich z niepodległości na rzecz woli suwerennej Waszyngtonu czy Moskwy nie odbywa się nigdzie, nawet w t.zw. krajach kolonialnych, bez świadomości zainteresowanych. Powiadamy świadomości, by podkreślić przewagę czynnika obcej decyzji, ale dalecy jesteśmy od przypuszczenia, iż wola ich w tym wypadku nie ma wpływu na rezultat ostateczny.

Sprawy nasze, sprawa polska, znalazła się w wirze światowym. Przestała być sprawą europejską, jaką była w czasie i nazajutrz po Pierwszej Wojnie Światowej.

Nasz wkład w walkę o jutrzejsze oblicze świata wyrażać się winien w woli uniezależnienia obszaru, w którego skład wchodzimy, zarówno od chorego organizmu niemieckiego jak i obcego białej cywilizacji organizmu rosyjskiego. Nasz wkład wyraża się wolą izolowania tych dwóch zakaźnych obszarów, wolą przyczynienia się do powstania warunków, w których chrześcijańska cywilizacja mogłaby rozwijać się w spokoju na tym terenie, który jest jej kolebką, na którym osiągnęła poziom najdoskonalszy — na terenie Europy.

ZBIGNIEW ABDANK

SINE IRA

OD PEWNEGO czasu obserwujemy uważnie ustne i pisemne wypowiedzi, pochodzące ze strony grupy "Niepodległość i Demokracja" na temat jej stosunku do polskiego życia politycznego i tych czynników, które są wartością stałą w polityce, — do polskich ugrupowań politycznych. Interesowały nas oczywiście najbardziej wypowiedzi pod adresem Stronnictwa Narodowego.

W miarę obserwacji coraz bardziej przekonywamy się o tym, że NiD z gruntu fałszywie ocenia: 1) rolę własną, 2) rolę innych ugrupowań politycznych w polityce polskiej, 3) cele polityki polskiej i 4) metody jej realizowania. Odnosi się wrażenie, że organizacja ta dąży do ideału, reprezentowanego w swoim czasie przez *Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem*; chwilowo tylko słowo *współpraca* zastąpione zostało słowem *walka*, aż do czasu, gdy Rząd i NiD zleją się w jedno pojęcie. Mógłby to być rząd polityczny, fachowy, urzędniczy, kombatancki, społeczny — byle by wreszcie *swój własny*.

Tak pojęte cele polityki polskiej w dobie walki o odzyskanie państwa — narzuciły taktykę zwalczania różnymi sposobami ruchów politycznych, stanowiących trzon niezależnej polityki polskiej. Słuchaliśmy uważnie, co się mówiło ze strony NiD-u w okresie organizowania Zjednoczenia Polskiego w Brukseli czy w Londynie. Łatwo można się było przekonać, że pierwszym celem tej akcji było rozbicie dotychczasowego porozumienia stronnictw. Dużo złej krwi wywołały wystąpienia Stronnictwa Narodowego czy P.P.S. przeciwko nieskomplikowanej i przejrzystej "inżynierii zjazdowej" NiD-u.

Z ust działaczy nidowych padały wtedy zgryźliwe epitety w rodzaju: "narodowi socjaliści". Nic więc dziwnego, że pierwsza sposobność, jaką był trudny okres po śmierci Prezydenta Raczkiewicza, wykorzystał NiD w intencji podważenia dotychczasowego układu politycznego. Akcja ta była jednocześnie pierwszym publicznym egzaminem dojrzałości politycznej NiD-u — z wynikiem ujemnym. Okazało się bowiem, że wszystkie kombinacje tej grupy sprowadzały się do matematycznych równań, z których na miejsce niewiadomej trzeba było wszędzie podstawić — NiD.

Posunięcia, poprzedzające kryzys czerwcowy, jak i wysiłki NiD-u aż do chwili bieżącej, nasuwają przypuszczenie braku poważniejszej koncepcji politycznej; stosowane zaś metody, jeśli miały jakąś tradycję, to chyba tę, którą pamiętamy dokładnie z czasów B.B.W.R. i O.Z.N.

Jednym z głównych zadań NiD-u (trzeba dodać: ponad siły) stało się odsunięcie Stronnictwa Narodowego.

Sięgnięto do wzorów gotowych, stosowanych w czasie oszczerczej kampanii Litauera i tow. w okresie wojny, kiedy to w prasie obcej umieszczano lub inspirowano artykuły przedstawiające Stronnictwo Narodowe jako "reakcję polską", "faszyzm" i t.p. Zbyt dobrze wówczas wiedzieli dzisiejsi urzędnicy Bieruta, że Stronnictwo Narodowe stanie przeciwko planom zniszczenia państwa polskiego. Wypadki — niestety — nie kazały długo na siebie czekać. Nowy legalny rząd jednak powstał na czas, zanim możliwe stało się zrealizowanie planów politycznego samobójstwa polityki polskiej. Każdy, kto jest uczciwy, widział i pamięta rolę Stronnictwa Narodowego. Polityka polska do niewoli nie poszła. Pozostały w dalszym oporze przeciw sowieckiemu podbojowi polskie ruchy polityczne, pozostał legalny rząd i dziesiątki tysięcy Polaków.

Zaczęła się więc robota rozbijacka ze strony wrogów. Każdy miesiąc wykruszał nieznacznie, powoli siły, wprowadzał zwątpienie w szeregi pozostałych na emigracji. Trzeba było naprawdę ogromnej siły ideowej, żeby

nie nastąpiło załamanie. W okresie tym społeczeństwo polskie wykazało nie tylko instynkt narodowy, wykazało swą dojrzałość polityczną, przejście przez szkołę samodzielnego, narodowego myślenia. Ciosy zaczęły spadać na Kraj. Argument "faszyzmu" i "reakcji", ukuty przeciw Stronnictwu Narodowemu przez agentury komunistyczne, przerzucony został na cały naród nie poddający się komunistycznemu jarzmu. Bez przerwy, w permanencji niemal, toczą się procesy, padają wyroki, odbywają się egzekucje, bez sądu znikają ci — "faszyści i reakcjoniści".

I dlatego używanie argumentów i słownika, pochodzących z wrogiej Polsce propagandy komunistycznej, czy z innych źródeł agenturalnych, jest ze strony NiD-u podjęciem metod nie mających żadnego usprawiedliwienia. Dzieje się to na tym samym obcym terenie, na którym już raz została wykorzystana podobna oszczercza kampania. Walka o państwo polskie toczy się dalej i niedaleka już przyszłość może przynieść takie zmiany, w których samodzielne czynniki polityczne będą mogły naszej sprawie oddać decydujące usługi. Czyż trzeba dodawać, że akcja NiD-u tym możliwościom przeszkadza jak umie?

Jeśli napaści te odpiera się w taki sposób, żeby nie nadawać sprawie wagi, która byłaby z gruntu szkodliwa dla interesu polskiego, — następują "wyczerpujące" odpowiedzi, które są dalszą akcją po niedawnej linii Litauera.

Oto znów p. Pomian, którego poprzedni artykuł w *Trybunie* tkwił korzeniami w najgorszych wzorach, dotknięty polemicznym tonem naszej krótkiej notatki, wytacza swe oblężnicze działa i w numerze 11 *Trybuny* stara się zdruzgotać nas pociskami największego kalibru. Ma powstać przy tym taki huk, żeby i sąsiedzi i obcy słyszeli. A więc są tam: "pogromy żydowskie", "ghetta ławkowe", "Narutowicz"; jest tam również cytat wypowiedzi jednej z organizacji krajowych, mający organizację tę zadenuncjować przed opinią jako "totalistyczną" i "faszystowską". Są wreszcie inne rzeczy, napisane *mala fide* przez autora artykułu, zatytułowanego "Przymusowe staropanieństwo".

Nie wiemy, czy przyda się w polemice z *Trybuną* jakiekolwiek wyjaśnianie przeszłości, istoty walki obecnego pokolenia polskiego o własny wyraz w życiu społecznym, kulturalnym, gospodarczym i politycznym. To jest wszakże pewne, że postawiony w cytowanym artykule znak równości między wypadkami na uniwersytetach w Polsce przed 1939 rokiem, a Brześciem i Berezą jest niebylejakim osiągnięciem taniej kazuistyki, rozumowaniem *ad absurdum*. Wydarzenia uniwersyteckie bowiem, — niezależnie od tego, jak kto się na nie zapatruje — były w znacznej mierze właśnie reakcją na metody Brześcia i Berezy, metody ówczesnych ministrów, starostów i wojewodów; młodzież uniwersytecka, chłopi, robotnicy, rzemieślnicy, kupcy — walczyli o inny styl życia, o emancypację Polski, o zawrócenie z drogi celów sprzecznych z celami narodu polskiego. Naszymi głównymi przeciwnikami byli ci, którzy i dziś kierują tragiczną eksploatacją narodu polskiego. To ci sami, którzy w kraju, czy na t.zw. dyplomatycznych placówkach służą interesom wrogim Polsce. To właśnie za "krzywdy" Jędrychowskiego szedł do Berezy dziennikarz Kownacki czy student Łochtin.

To była naprawdę ostra walka z narastającą przed wojną piątą kolumną światowego komunizmu. Pan Pomian woli dziś Legion Młodych od "Obwiepolu". Co kto lubi. Naszym zdaniem wiele akcji Legionu Młodych było inspirowanych przez ośrodki obce. Nasz przeciwnik z *Trybuny* pisze dalej o *Ozonie*, że był *koncesją* na rzecz postulatów Stronnictwa Narodowego. Otóż w tym właśnie leży cała karykatura organizacji *Ozonu*! Ludzie, którzy przez całe życie walczyli z ideologią narodową, zaczęli pewnego poranku udawać, że ją realizują. I to udawać w sposób nieudolny, prymitywny. Nawrócenia takie możliwe są tylko w innym systemie, czego przykłady dają dziś narody Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie koncesje na "patriotyzm" otrzymały partie komunistyczne, walczące . . . z patriotyzmem. "Na *Ozon* panowie z *Myśli Polskiej* powinni się przestać oburzać" — woła . . . *Trybuna*. Wiadomo doskonale, że nie o oburzenie chodzi. Zadaniem polityki nie jest ani sentyment, ani oburzenie. Jest natomiast wyciąganie wniosków i działanie zgodne z doświadczeniem.

Inna wielka kolubryna, z której p. Pomian wystrzela następny "zarzut" pod adresem Stronnictwa Narodowego, to nasze wysiłki dojścia do porozumienia z Rosją Sowiecką, oraz że ludzie ze Stronnictwa publicznie to wyrażali.

Temu "zarzutowi" mają służyć dwa cytaty z sowieckiego wydawnictwa o procesie moskiewskim, na którym pp. Jasiukowicz i Stypułkowski wyrazili postulat utrzymania pokojowych stosunków z Rosją Sowiecką, co było niezaprzeczalną tendencją polityki polskiej podczas całej wojny. Cytaty te mają jednocześnie służyć przekonaniu, że ludzie ze Stronnictwa nie wiele różnią się od takich, jak p. Rzepecki. Porównanie tych stanowisk jest niesłychane. Metody procesów sowieckich są nam dostatecznie znane, aby nie wygłaszać słów dyskryminacji dla ludzi, który się nie załamują. Robimy zarzuty tylko tym, którzy *przed procesem i po procesie* są w sprzeczności z elementarnym obowiązkiem polskim i służą interesom sprzecznym z interesami polskimi. Jeżeli się doda, że na procesie moskiewskim mec. Z. Stypułkowski do żadnej "winy" się nie przyznał, mimo całej maszynerii śledztwa N.K.W.D., to zestawienie jest dla Rzepeckiego naprawdę dużym zaszczytem. Różnica zaś między p. Jasiukowiczem i p. Rzepeckim jest tylko ta, że jeden cierpi w więzieniach wroga, drugi zaś na wolności pracuje w myśl wrogich instrukcji.

Tak zwane próby "zalegalizowania Stronnictwa Narodowego" w Kraju, o których p. Pomian w końcu swego artykułu pisze, zostały przedstawione niezgodnie z prawdą. Widocznie komuś bardzo zależy na zacieraniu faktów, ażeby na tle zachowania się innych stronnictw nie raziło "dziewictwo", jakby powiedział p. Pomian, Stronnictwa Narodowego w stosunku do Sowietów.

Faktem jest, że Stronnictwo Narodowe nie poszło na t.zw. ujawnianie się i że się różniło pod tym względem od innych partii. Kilku ludzi z p. Rymarem na czele, nie należących do władz Stronnictwa, postanowiło bez upoważnienia, na własną rękę "ujawniać się". Zapłacili za to więzieniem.

Stronnictwo Narodowe natomiast zdecydowało się nie "ujawniać". Stanowisko to było znane innym partiom i trzeba złej woli, żeby naciągać rzeczywistość dla "wybielania" swoich. Wobec Sowietów i komunizmu Stronnictwo Narodowe nie zamierza pozbyć się "dziewictwa". Woli staropanieństwo od zadawania się z komunistami. Tego faktu nawet jurny p. Pomian zmienić nie potrafi.

* * *

Słowa powyższe wypowiadamy bez widoku na przekonanie *Trybuny*, a to z przyczyn, które podaliśmy na początku niniejszych uwag. Kierujemy je do tych, którzy obserwują uczciwie polskie życie polityczne i obiektywnie mogą ocenić sens naszej walki, wysiłek już kilku pokoleń ludzi Obozu Narodowego w ugruntowaniu samodzielnego państwa polskiego w służbie narodowi i naszej cywilizacji.

w.t.*)

*)Nie jestem *redaktorem* "Myśli Polskiej".

UWAGI

"UPRAWNIONE" ROZSZERZANIE SIĘ

W swej głośnej mowie, wypowiedzianej d. 22 września w Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych, brytyjski wiceminister spraw zagranicznych, Hector McNeil, dał szereg niezmiernie słusznych sformułowań w zakresie zasad, które winny rządzić stosunkami międzynarodowymi w świecie. Jedyną, według niego, nadzieją dojścia do porozumienia mimo istniejących różnic jest (cytujemy za streszczeniem *Times'a*) przyjęcie przez wszystkie narody jako założenia, że "żaden z nich nie ma monopolu prawdy, żaden nie jest wszechwiedzący, żaden nie jest wszechmocny, oraz że żaden rozsądny naród nie może za każdym razem oczekiwać, by poglądy jego były przyjęte przez wszystkie inne narody".

Skrytykowawszy w tym zakresie stanowisko i metody Z.S.S.R. p. McNeil wypowiedział jednak w dalszym ciągu na temat Rosji te znamienne słowa:

"W r. 1917 wynurzył się wielki naród, którego męstwo i przemyślność (*ingenuity*) w latach, kiedy naród ten walczył z faszyzmem, postawiły go w rzędzie wielkich mocarstw światowych. Ani ja, ani żaden z członków Rządu Brytyjskiego nie będzie negował uprawnionych (*legitimate*) aspiracji Rosji, ani hamował rozszerzeń (*extensions*), do których ona w sposób uprawniony zmierzała i które posiadać musi każdy wielki naród z samej natury swego rozrostu (*growth*)". Lecz — mówił dalej p. McNeil — "jeśli rząd sowiecki . . . uważa, że w każdej sytuacji międzynarodowej wola jego winna przeważać, jeśli uważa, że potęga jego musi się rozszerzać we wszystkich kierunkach, jeśli myśli, że przy określaniu każdego położenia międzynarodowego przyjęte musi być jego własne określenie, to, zdaniem moim, nie tylko zniszczone będą Narody Zjednoczone, lecz także chwiejny (*unstable*) pokój świata zatrzeszczy i rozsypie się, ściągając na nas wszystkich okropne następstwa, na jakie p. Wyszyński skierował naszą uwagę".

Przytoczone wyżej słowa nasuwać muszą niewesołe refleksje. Zdaniem naszym u podstaw dzisiejszego napięcia międzynarodowego leży fakt, że Rosja — na dalszą metę wbrew własnym swym interesom — rozlała się szeroko poza swe naturalne terytorium narodowo-państwowe, ujarzmiając Polskę i sąsiednie kraje Europy Środkowo-Wschodniej i niszcząc przez to jeden z niezbędnych czynników równowagi politycznej w Europie, a tym samym i w świecie. Interes polityczny Europy i świata zbiega się w tym zakresie z zasadami moralnymi, które — wedle powszechnych do niedawna poglądów — winny obowiązywać w stosunkach międzynarodowych, przede wszystkim zaś z zasadą, że każdy z historycznych narodów europejskich, bez względu na swą siłę militarną i potencjał gospodarczy, ma prawo do niepodległości — prawo, które z pewnością wyższe jest od prawa wielkich mocarstw do czynienia *extensions*.

Prawda, p. McNeil mówił o uprawnionych (*legitimate*) "rozszerzeniach się" — powstrzymał się jednak przy tym zupełnie od określenia, które w ogóle z nabytków poczynionych przez Rosję od września 1939 r. uznane być mogą za "uprawnione". Co do nas nie wierzymy, by na dalszą metę utrzymać można było pokój świata, krocząc nadal po bezdrożach, na jakie polityka mocarstw Zachodu weszła w Teheranie i w Jałcie.

PERSJA

George Kennan, szef sekcji planowania w Departamencie Stanu w Waszyngtonie i główny doradca Marshalla w sprawach sowieckich, analizując politykę sowiecką w artykule jemu przypisywanym, który ukazał się w amerykańskim, kwartalniku *Foreign Affairs* w lipcu b.r., zwrócił uwagę na to, że polityka sowiecka w drodze do osiągnięcia wytkniętego celu nie zraża się chwilowymi niepowodzeniami. Poczucie realizmu politycznego i przeświadczenie, że w ostatecznym bilansie teza sowiecka i doktryna komunistyczna zwyciężą, pozwalają Sowietom na chwilowe wycofywanie się z pozycyj nie do utrzymania, aby przy nadarzającej się okazji znowu przypuścić atak.

Taką właśnie sytuację obserwujemy obecnie, kiedy sprawa Persji pojawiła się z powrotem na łamach prasy.

Na wiosnę 1946 r. sprawa Persji wysunęła się na czoło polityki światowej. Była to wielka próba sił, w której wchodziły w grę nie tylko zasadnicze interesy ale i prestiż Związku Sowieckiego, Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Chodziło mianowicie o zmuszenie Rosji do dotrzymania zobowiązań międzynarodowych odnośnie Persji, do wycofania wojsk sowieckich z północnej części tego kraju. Sprawa oparła się o Radę Bezpieczeństwa i dzięki silnemu stanowisku Anglosasów, jak i zręcznej polityce premiera Persji Qavam el Sultaneha w maju 1946 r. wojska rosyjskie opuściły Persję.

W następnych miesiącach premier Sultaneh potrafił świetnie wykorzystać ów sukces i w grudniu 1946 r. wojska rządu centralnego wkroczyły do Azerbejdżanu, kładąc kres separatystycznemu reżimowi tej prowincji, zaś "demokratyczny" premier Azerbejdżanu Piszewari zbiegł do Rosji.

Wycofanie się wojsk sowieckich z północnej Persji i koniec autonomii Azerbejdżanu były ciężkim ciosem dla prestiżu i ekspansji sowieckiej na Wschodzie. Przez kilka miesięcy problem Persji przestał zajmować opinię światową, kiedy nagle w ostatnich tygodniach Persja znowu wysunęła się na czoło w polityce światowej bieżących zagadnień.

Dnia 12 sierpnia b.r. ambasador sowiecki w Teheranie przedłożył projekt umowy odnośnie wspólnej sowiecko-perskiej eksploatacji złóż naftowych w północnej Persji, żądając jej podpisania bez uprzedniego przedstawienia jej parlamentowi perskiemu do aprobaty.

Ten krok sowiecki jest następstwem umowy, zawartej 4 kwietnia 1946 między Związkiem Sowieckim a rządem perskim co do utworzenia przez oba rządy towarzystwa akcyjnego, które miałoby prawo eksploatować złoża nafty w płn. Persji przez okres 50 lat. Umowa ta jednak przez wprowadzeniem jej w życie miała być ratyfikowana przez parlament w Teheranie. W nowej sytuacji, jaka powstała po ewakuacji wojsk rosyjskich z Persji, premier Sultaneh nie śpieszył się z przedkładaniem umowy do ratyfikacji parlamentu.

Obecnie żądanie Sowietów udzielenia koncesji naftowych bez czekania na zgodę parlamentu perskiego jest nową rundą tej *cold war*, toczącej się obecnie między Związkiem Sowieckim, a Stanami Zjednoczonymi. Interesujące są pierwsze reakcje Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wobec tych nowych żądań sowieckich.

Ambasador brytyjski w Teheranie miał oświadczyć, że o ile by parlament nie zgodził się na udzielenie koncesji naftowej, winny być prowadzone dalsze przyjazne rozmowy w tej sprawie między bezpośrednio zainteresowanymi stronami. Oświadczenie powyższe należy rozumieć w ten sposób, że Persja w razie sprzeciwienia się żądaniom sowieckim nie może liczyć na dużą pomoc ze strony W. Brytanii.

Natomiast ambasador amerykański miał oświadczyć że "patriotyczni Persowie rozważając sprawy dotyczące ich narodowych interesów mogą być pewni, że naród amerykański będzie w zupełności popierał ich wolność powzięcia swobodnego wyboru".

Dwa te oświadczenia charakteryzują obecną postawę tak W. Brytanii, jak i Stanów Zjednoczonych w polityce światowej. Wielka Brytania, dotknięta kryzysem ekonomicznym, pragnie uniknąć zbytniego zaangażowania się po stronie Persji, natomiast Stany Zjednoczone przy obecnym kursie swej polityki są zdecydowane nie ustąpić żądaniom sowieckim i obiecują rządowi perskiemu daleko idące poparcie.

PALESTYNA

Specjalna Komisja Narodów Zjednoczonych dla zbadania sprawy Palestyny powołana w dniu 13 maja br. zakończyła swe prace i przygotowała raport oraz odpowiednie wnioski na bieżącą sesję Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych.

Komisja ta opracowała dwa plany rozwiązania zagadnienia palestyńskiego.

1) Plan większości mający za sobą poparcie siedmiu członków Komisji przewiduje podział Palestyny na dwa państwa: państwo żydowskie o powierzchni 6.400 mil kwadratowych oraz o ludności złożonej z 550 tysięcy Żydów i 500 tysięcy Arabów, oraz państwo arabskie o powierzchni 3.600 mil kwadratowych i o ludności złożonej z 620 tysięcy Arabów i 15 tysięcy Żydów.

Jerozolima wraz z okolicą stanowiłaby zonę autonomiczną administrowaną przez Narody Zjednoczone za pośrednictwem gubernatora.

Plan ten przewiduje dalej dwuletni okres przejściowy, w czasie którego administrację kraju sprawowałaby W. Brytania pod auspicjami Narodów Zjednoczonych z pomocą — w razie potrzeby — jednego lub dwu innych państw. Przez dwa lata Palestyna przyjęłaby 150 tysięcy imigrantów żydowskich.

Wreszcie plan ten przewiduje dla obu państw unię ekonomiczną łącznie z unią celną oraz wspólną administrację portów i kolei.

2) Plan mniejszości mający poparcie trzech członków komisji (Jugosławia, Persja, Indie) zaleca utworzenie państwa związkowego arabsko-żydowskiego. Państwo to byłoby federacją dwu krajów autonomicznych mianowicie żydowskiego i arabskiego. Stolicą federacji byłaby Jerozolima. Przewidziany jest okres przejściowy, aż do czasu kiedy zgromadzenie konstytucyjne wybrane drogą powszechnego głosowania — a więc o większości arabskiej,— ustaliłoby formę rządu centralnego. Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych ustaliłoby władzę która by administrowała Palestyną w okresie przejściowym; oba sfederowane państwa miałyby pełny samorząd, zaś po zakończeniu okresu przejściowego sprawy imigracji do Palestyny należałyby do kompetencji rządu federalnego (centralnego). Podział terytorium w tym planie między sfederowane państwa jest bardziej bezstronny i nie faworyzuje tak wyraźnie Żydów, jak to zachodzi w planie pierwszym.

Widzimy z tego, że pierwszy mający poparcie większości idzie na rękę syjonistom, faworyzując wyraźnie państwo żydowskie. Państwu temu daje 2/3 powierzchni Palestyny, oba porty, 45% ludności arabskiej i 91% ludności żydowskiej, większą część bogactw naturalnych i przemysłu.

Plan drugi sprawę rozdziału terytorium, ludności, bogactw naturalnych i przemysłu załatwia bardziej bezstronnie. Oddając jednak sprawę uregulowania formy przyszłego rządu centralnego kompetencji Zgromadzenia Konstytucyjnego, wybranego w okresie przejściowym w drodze głosowania powszechnego, faworyzuje w tym wypadku Arabów, tym bardziej, że do kompetencji tego rządu centralnego (federalnego) miałoby należeć regulowanie imigracji do Palestyny.

Z oświadczeń przywódców żydowskich (syjonistów) można wnioskować, że plan pierwszy jest dla nich do przyjęcia.

Natomiast rzecznicy Arabów uznali nie tylko plan pierwszy ale i drugi za niemożliwy do przyjęcia.

Sprawa palestyńska jest na porządku obrad odbywającej się obecnie sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

W dniu 26 września brytyjski minister kolonii Creech Jones w przemówieniu na komisji Zgromadzenia sprecyzował stanowisko W. Brytanii wobec problemu palestyńskiego.

Oświadczył on, że W. Brytania w zasadzie nie ma zastrzeżeń co do ogólnych zaleceń raportu komisji. Zgadza się w zupełności z zaleceniem, że mandat W. Brytanii w Palestynie winien być zakończony i że Palestyna winna uzyskać niepodległość. Dalej oświadczył Creech Jones, że rząd Zjedn. Królestwa jest gotowy przyjąć odpowiedzialność za wykonanie jakiegokolwiek planu przyjętego tak przez Żydów jak i Arabów. Gdyby Zgromadzenie zaleciło rozwiązanie, które byłoby nie do przyjęcia zarówno dla Żydów jak i Arabów, rząd W. Brytanii nie będzie skłonny planu tego wykonać i wtedy należałoby powołać jakąś inną władzę, która by wprowadziła w życie zalecenia Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. Rząd W. Brytanii nie zamierza podjąć się zadania narzucenia Palestynie siłą jakiegoś rozwiązania. Gdyby rząd W. Brytanii miał uczestniczyć z innymi w przeprowadzeniu pod przymusem załatwienia tego problemu udział jego zależeć będzie od tego, czy będzie przekonany o słuszności rozwiązania i w jakim zakresie trzeba by było zastosować użycie siły dla wprowadzenia rozwiązania tego w życie. W końcu przedstawiciel W. Brytanii oświadczył, że w wypadku niezałatwienia przez Zgromadzenie problemu Palestyny, Wielka Brytania przewiduje rychłe wycofanie swych wojsk i administracji z tego kraju.

Jak z oświadczenia tego widać, W. Brytania jest zdecydowana opuścić Palestynę. Oświadczenie brytyjskie stawia Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych w trudnej sytuacji. Znalezienie rozwiązania, które by było do przyjęcia przez obie strony — żydowską i arabską —, nie będzie rzeczą łatwą. W braku zaś takiego rozwiązania odpowiedzialność za Palestynę przeszłaby bezpośrednio na Organizację Narodów Zjednoczonych.

NAGY A MIKOŁAJCZYK

W *Daily Telegraph* z 10, 11 i 12 września ukazały się artykuły byłego premiera, Ferenca Nagy, opisujące w jaki sposób garstka komunistów, oparta o bolszewickiego okupanta, opanowuje Węgry. Dla naiwnej opinii Zachodu historia Nagy jest niewątpliwie rewelacją, ale dla każdego, kto umie realnie oceniać obecne położenie krajów Europy Środkowej, stanowi ona jedynie potwierdzenie tego, co było od dawna do przewidzenia.

Nagy sam jest człowiekiem Zachodu i dlatego nie rozumie (choć należy przypuszczać, że obecnie już zrozumiał) wielu zjawisk zachodzących w krajach, które tak jak jego ojczyzna znalazły się pod panowaniem bolszewickim. Takie np. przekonywanie Rosjan i węgierskich komunistów, że ich metody śledcze mogą poruszyć przeciw nim opinię świata, zdaje się dowodzić zupełnej nieświadomości, że metody te mają już u bolszewików długą tradycję i z pewnością nie będą

zmieniane na prośbę premiera podbitego państwa.

Wiara Nagy'ego, że wejście w życie traktatu pokojowego wpłynie zasadniczo na zmianę położenia Węgier, przywodzi na myśl złudzenia, jakim uległ swego czasu Mikołajczyk. Zresztą analogij między Nagym a Mikołajczykiem znalazłoby się z pewnością więcej, z tym jednak, że w świetle porównań Nagy na ogół wychodzi korzystnie tam, gdzie Mikołajczyk wypada ujemnie. Przede wszystkim Nagy był przedstawicielem państwa pokonanego, więc musiał godzić się na pewne rzeczy, których przyjęcie winno było być nie do pomyślenia dla polityka, reprezentującego naród, który dał taki wkład do zwycięstwa sprzymierzonych, jak Polska.

Występująca niejednokrotnie u Nagy'ego fałszywa ocena polityki komunistycznej usprawiedliwiona jest poniekąd brakiem doświadczenia w tej dziedzinie. Polityk polski, jakim był Mikołajczyk, miał aż za wiele sposobności do poznania prawdziwych intencji komunistów rosyjskich czy innych. A jeśli za mało mu było własnych doświadczeń, to nie mógł uskarżać się na brak bezpośrednich informacji ze strony tych, którzy doświadczenia te posiadali.

Pamiętać wreszcie należy, że Nagy znajdował się w swoim kraju, gdzie stronnictwu jego dano możność zdobycia większości w wyborach, nie było więc formalnego powodu, przynajmniej na początku, do uchylania się od udziału w rządach. Mikołajczyk natomiast był za granicą; tu skapitulował bezwarunkowo, robiąc wyłom w jednolitym froncie emigracji politycznej po to jedynie, by w zamian za pozbawione jakichkolwiek istotnych wpływów stanowisko ułatwiać ratowanie pozorów, że w Polsce życie rozwija się normalnie i swobodnie.

OGŁUPIANIE

Wśród wykonawców programu sowieckiego w Polsce nie brak jest ludzi z wykształceniem. Podporą reżimu jest prawie cała skomunizowana "lewica" intelektualna sprzed wojny. Dlatego też nie jest dziełem przypadku, lecz swego rodzaju zabiegiem psychologicznym celowe ogłupianie szerokich mas społeczeństwa polskiego, któremu nie daje się ani chwili spoczynku w zwyczajnym, domowym życiu, jakie ma każdy obywatel wolnych społeczeństw. Dosłownie co dzień są w ponurej operetce "niepodległości" jakieś święta. W ten sposób m.i. dąży się do zysku ubocznego: do dewaluacji pojęcia święta.

Przeróżne rocznice wyzwolenia, śmierci, bitew, reform, manifestów, odrodzenia i przyjaźni zalewają jarmarcznym jazgotem chwile odpoczynku. Nawet lotnictwo, które jak wiadomo znajduje się w Polsce całkowicie w ręku sowieckim, miało swoje "polskie święto". Dożynki z udziałem "dostojnego włodarza", i niekończące się przecięcia wstęg — uzupełniają permanentną uroczystość w okupowanej Polsce.

"*Żyt'stało łutsze, żyt'stało wiesielej*".

W uroczystościach tych wszędzie występuje w charakterze narodowej świętości *Marszałek*. Co dzień niemal zjawia się we wszystkich wstęgach orderowych, kapiący od srebra, i dobrotliwie nagradza, promuje, przyjmuje defilady, wszędzie reklamując armię czerwoną, jak przystało na marszałka . . . z łaski sowieckiej. Kult "marszałka" jest świadomym cynizmem propagandzistów komunistycznych. Tow. Rola-Żymierski jeździ, bo, po pierwsze, taka zabawa leży na pewno w jego gustach, po drugie, jak by nie chciał jeździć to mu ktoś nagle może . . . maseczki przypomnieć.

Rozpoczyna się miesiąc Warszawy. Reżim, starając się pokryć własną bezsilność w uprzątnięciu gruzów z miasta — rozpoczyna organizować entuzjazm, który ma zastąpić fachową pracę. Zjawiają się z łopatami dostojnicy. Wożą taczkami, noszą cegły. "Sam Marszałek" przyjechał w otoczeniu generalicji i "odgruzowuje" Warszawę, którą w swoim czasie tak makabrycznie "nagruzowała" stragegia milczenia armii czerwonej. Oto malowniczy obrazek z tego *sui generis* święta na Starym Mieście w Warszawie, według *Głosu Ludu*:

"Sam Marszałek Rola-Żymierski stanął do pracy na równi z innymi . . . I do niego właśnie zbliżyła się 82 letnia mieszkanka Starówki — Lucyna Borkowska. Ob. Borkowska nie rozróżnia szarży — zresztą trudno byłoby od niej tego wymagać. . . . Przykuśtykała, zobaczyła, że pracują . . . starodawnym zwyczajem zwróciła się co najbliższego sobie żołnierza ze słowami:

'Daj Wam Boże siły' . . .

'Nie tylko trzeba nam siły ale i ochoty' . . . odpowiedział żołnierz. . .

Tak . . . tak — staruszka odeszła . . . żołnierz dalej ładował gruz.

Ktoś z otoczenia zatrzymał kobiecinę i wyjaśnił jej, że rozmawiała z samym Marszałkiem. . . .

Z Marszałkiem . . . staruszka zawróciła z miejsca — podeszła ponownie do gen. Żymierskiego — chcąc go ucałować w rękę. . . .

Żachnął się Marszałek i odpowiedział: 'Nie wy, lecz my powinniśmy was po rękach całować — kobiety polskie, któreście tyle wycierpiały, tyle przeszły'." Koniec reportażu. Oczywiście "sam" "marszałek" staruszki w rękę nie pocałował. I dobrze. Byłby to bowiem pocałunek Judasza — na tle tej tragedii, której olbrzymią dekoracją jest Stare Miasto, Warszawa, Polska.

EKSPLOATACJA FIZYCZNA

Wojna przyniosła na Kraj największe wśród narodów europejskich wykrwawienie i wyniszczenie biologiczne. W ostatniej fazie wojny przez terytorium Polski przetoczyła się brudna, pełna wszelakich chorób nawała "narodów radzieckich", pozostawiając dalsze spustoszenie, o którym w sposób okrężny ale dostatecznie wyraźny alarmuje społeczeństwo polskie w Kraju.

Alkoholizm i propagowane rozluźnienie obyczajów jest dalszym rozwinięciem frontu w wojnie z tą "polską krzepą", to jest prostym zdrowiem, formą fizyczną, której jakość uzależnia stan odporności w procesach natury ideologicznej.

Ostatnio do tych metod specjalnych dołączono jeszcze jedną, będącą najbardziej cyniczną eksploatacją żywej siły ludzkiej pod postacią "szlachetnego" współzawodnictwa w pracy. System stachanowski został już dostatecznie oświetlony od strony jego perfidnych celów — wypompowania sił bez względu na skutki, jakie to przyniesie dla zdrowia ludzi pracy. Jest to *odwrócenie* rezultatów długiej walki świata pracy o poszanowanie zdrowia ludzkiego, jako największego dobra materialnego, którym człowiek rozporządza. T.zw. "socjalistyczny wyścig pracy" jest najpodlejszym oszustwem robotnika, jest czymś, co robotnik narodów cywilizowanych ma w głębokiej pogardzie, coś, co wprowadza skutki niewolnictwa pod pozorem "zapału" i własnej ochoty.

Już w latach pierwszej okupacji sowieckiej na naszych ziemiach wschodnich "stachanówka" była narzucana we wszystkich gałęziach pracy. Zwycięzców w takim wyścigu po prostu wyznaczano i pod groźbą zsyłki, więzienia, zmniejszenia zarobków, czy represji na rodzinie, kazano odgrywać komedię zawodów. Zazwyczaj miejscowy delegat partii komunistycznej organizował cichy zespół pomocników, którzy w sposób mniej lub więcej zamaskowany brali udział w wykonywaniu "gigantycznej" normy. Np. okazywało się, że robotnik noszący cegły, zwycięzca i rekordzista, miał "do pomocy" pięciu innych, równie jak on steroryzowanych, którzy stanowili anonimową spółkę. Cyfry oczywiście były także fałszowane. Z jednej strony nadzorcy pragnęli wykazać się rezultatem przed władzami, z drugiej zaś usiłowano powoli robotników przyzwyczajać do tego, że jego norma jest czymś dziecinnym w porównaniu z istotnymi możliwościami człowieka. W zespołach specjalnie opornych delegowano na takiego zwycięzcę czynnego członka miejscowej partii komunistycznej, płatnego agenta i t.d. Jeśli się weźmie pod uwagę nieludzkie normy, przyjęte w sowieckim systemie pracy, — obraz ponury niewolniczej eksploatacji staje się widoczny w całym swoim zarysie.

Ostatnio prasa sowiecka w Polsce, to jest cała prasa reżimowa, rozpoczyna kampanię "stachanowską". Spotykamy znów dobrze znane slogany "bohaterstwa pracy", "współzawodnictwa socjalistycznego" i t.p. Są już ogłaszani i fotografowani zwycięzcy w tych zawodach na niszczenie zdrowia ludzkiego, są artykuły uzasadniające system sowiecki od strony "naukowej", czy "patriotycznej". Oczywiste jest, że robotnik polski ustosunkowuje się do tych machinacji w sposób jak najbardziej wrogi. Nędzne płace i spenetrowanie organizacji robotniczych przez komunistów — każe utrzymywać obawy, że walka polskich mas robotniczych z sowiecką eksploatacją będzie bardzo trudna.

Warto ten problem postawić przed oczy wolnych społeczeństw Zachodu. Specjalnie tu, na terenie W. Brytanii, gdzie — naszym zdaniem — znajomość systemu sowieckiego jest minimalna, gdzie nadal świat pracy okłamywany jest rzekomymi zdobyczami socjalnymi komunizmu,— tu szczególnie warto przedstawić w całej grozie sowiecki system niewolniczej eksploatacji człowieka. Jeśli gdzie szukać reakcji czy wstecznictwa, jak chcą pewne polskie organy na emigracji — to właśnie w obnażonej z kłamstwa "demokracji ludowej".

DWA WARUNKI

W *Polsce Walczącej* z d. 6 i 13 września ukazały się dwa artykuły p. Witolda Almarskiego pt. "Sugestia i wnioski", w których autor poddaje analizie charakter i dzieje polskiego środowiska emigracyjnego w ciągu dwu lat ostatnich i wykreśla szereg wytycznych na przyszłość. Zgadzamy się z niektórymi jego sformułowaniami i wnioskami, — jedno wszakże nasuwać musi jak najpoważniejsze wątpliwości.

P. Almarski wyraża mianowicie pogląd, że nasze dotychczasowe kierownictwo polityczne wykazało bierność i brak kwalifikacji, wobec czego działalność praktyczna coraz bardziej przerzuca się na barki organizacji społecznych; na terenie tych ostatnich — jak twierdzi — "wysuwają się nowe energiczne jednostki", a "momenty zaślepienia politycznego czy kłótni personalnych" działają tam "w daleko mniejszym stopniu".

Czyżby rzeczywiście tak było? Od roku już jesteśmy świadkami, jak właśnie organizacje społeczne, takie jak Zjednoczenie czy Stowarzyszenie Kombatantów, są terenem różnych praktyk i zabiegów ze strony czynników, które, występując jako "apolityczne", w rzeczywistości zabiegają o pełnię władzy w tych organizacjach dla celów wyraźnie partyjno-politycznych. Równolegle z tym idzie demagogiczna, niesumienna agitacja, skierowana przeciw legalnym władzom Rzeczypospolitej.

Nie twierdzimy, że takie są właśnie intencje artykułu p. Almarskiego, uważamy jednak, że *Polska Walcząca*, jako pismo w założeniu ponadpartyjne, powinna unikać sformułowań (a spotykamy je nie po raz

pierwszy), które by nasuwały wrażenie, że zajmuje postawę stronniczą. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to stanowisko nasze w zakresie uzdrowienia stosunków w "górze" emigracji wyłuszczaliśmy niejednokrotnie, — ostatnio w artykule wstępnym poprzedniego numeru *Myśli Polskiej*. Zdaniem naszym jednak drugim niezbędnym warunkiem naprawy naszego życia emigracyjnego musi być eliminacja pierwiastka partyjno-politycznego z organizacji społecznych i pohamowanie nadmiernej w tym zakresie zachłanności pewnych grup i klik emigracyjnych, często korzeniami tkwiących w różnych odłamach przedwojennej "sanacji".

O EMIGRACYJNYM BIADOLENIU I SAMOCHWALSTWIE

— "Wyrzekanie to nasza wada narodowa. Polak i w raju pretekst znajdzie do wyrzekania. Zawsze wszędzie wszyscy winni, tylko on jeden ma słuszność, on sam nieszczęśliwa ofiara. Żaden naród nie ma tak genialnego talentu w wyrzekaniu i oskarżaniu bliźnich jak Polacy. Patrzę na piekło emigranckie i coraz mi smutniej. Mickiewicz się ostatnio od nich odsunął, Norwid wyjeżdża, a reszta to się chyba pozagryza".

Tak pisał Fryderyk Chopin z górą sto lat temu w jednym ze swych listów do Delfiny Potockiej, charakteryzując pewne nasze właściwości narodowe, którą, jak się zdaje, postać specjalnie wynaturzoną przybierają po wielkich klęskach narodowych—zwłaszcza na emigracji.

Byłoby nielada tupetem twierdzić, że od tego czasu coś się zmieniło na lepsze. Przeciwnie, słowa Chopina uderzają swą trafnością i niewygasłą aktualnością. Wielka część Polaków na emigracji wyżywa się i dzisiaj w wyrzekaniach i wymyślaniach na wszystkich; są one najczęstszym tematem rozmów, toczonych przez rodaków, przy czym każdy z nich wydaje się znajdować specjalną sadystyczną przyjemność w częstowaniu swego słuchacza czy słuchaczy możliwie największą ilością wiadomości ponurych i źle świadczących o uzdolnieniach i charakterze społeczeństwa polskiego w ogóle.

Od tego ogólnie ujemnego sądu z reguły wszakże znajdzie się jeden wyjątek; jest nim sam wyrzekający — "on jeden ma słuszność", jak pisze Chopin. Nie przeszkadza to zresztą faktowi, że wśród tych nałogowych narzekajłów znajdujemy wielu notorycznych nierobów lub ludzi zajętych wyłącznie własnymi interesami, i nieskorych do przysłużenia się w czymkolwiek sprawie publicznej.

Dalecy jesteśmy od tego, by sugerować, że krytycy z reguły nie mają racji i że w życiu naszym emigracyjnym dzieje się dobrze. Znamy jego niedomagania i popełnione już ciężkie błędy; wiemy, jak często zawodzą ludzie na ważnych nawet i odpowiedzialnych stanowiskach, jak silnie daje się odczuwać brak inicjatywy i zdolności organizacyjnych w różnych naszych poczynaniach oraz zmysłu współżycia z ludźmi o innych poglądach czy temperamentach. Sądzimy jednak, że dwu rzeczy należy się szczególnie wystrzegać: nałogowej krytykomanii i egotycznego samochwalstwa, wywyższającego na ogólnie czarnym tle własną osobę i własną rzekomą mądrość (jakże często bardzo problematyczną). Krytyka istniejącego zła zyska raczej na sile, jeśli będzie dbała o nieprzekraczanie granic obiektywizmu i słuszności i jeśli atakujący będzie dawał zarazem przemyślane a nie tandetne czy demagogiczne tylko rozwiązania lub sugestie.

Jeśli — używając znów wyrażenia Chopina — nie mamy się "pozagryzać" wzajemnie, skupiać winniśmy gros naszej energii na walce z tym, co naród naprawdę gnębi i co mu zagraża—, a nie na jałowych i ztaruwających atmosferę biadoleniach i pomstowaniach.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Jan Bielatowicz: BRYGADA KARPACKA *Rzym*, 1947. *Instytut Literacki*. Stron 29.

Z p. Janem Bielatowiczem krytykowi kłócić się trudno, bo rzecz jest naprawdę dobra; spróbuję jednak poswarzyć się o niektóre szczegóły.

Praca jest napisana sumiennie, po prostu ślicznym językiem (np.: " . . . Latrum . . . stało się miejscem Brygady Karpackiej, zaprawiającej się do walki na pobliskich wzgórzach i dolinach. Klimat letni tego miejsca, aczkolwiek upalny, a ziemia spękana i pokryta suchorostami, jednak noce chłodne, dość dużo zieleni, nawet jakaś strużka wody").

Uzasadnienie wielkości dzieła bojowego, zawarte w jędrnym sylogizmie, zapędza w kąt zwątpiałych mędrków: "Stawką wojny w Afryce było panowanie nad światem, a więc i istnienie Polski, udział zatem Polaków w bojach na Zachodniej Pustyni był dalszym ciągiem wojny, zaczętej dnia 1 września 1939 . . . udział Brygady Karpackiej w bojach afrykańskich miał doniosłe znaczenie z punktu widzenia ogólno-światowego i polskiego".

Skrót historyczny Bielatowicza jest tym piękniejszy, że napisany z powinną miłością żołnierza dla swej jednostki.

Jednostka to niezwykła i niezwykłe jej dzieje, poczęta na Środkowym Wschodzie. Gdzie Środkowy Wschód, a gdzie Polska! A jednak "po raz trzeci istotnie żołnierz polski w dziejach zaczynał swój marsz do ojczyzny ze Wschodu: gen. Józef Zajączek bronił częścią sił polskich Aleksandrii w r. 1801 przed Anglikami, w roku 1833 sztab polski z gen. Henrykiem Dembińskim usiłował organizować armię Mohameda Alego, króla Egiptu, by móc bić Rosjan". Dziwne zaiste drogi Polaków i niezwykły to szlak bojowy do własnej ojczyzny.

Nie można jednak zgodzić się z autorem, że właśnie "atmosfera historyczna wabiła ku Brygadzie Karpackiej przede wszystkim młodzież i inteligentów" (str. 8). Wielki odsetek żołnierzy ze "stwierdzonym" cenzusem (około 35) w brygadzie tłumaczy się oczywiście innymi powodami, niż pociąg historyczno-literacki.

" . . . Ewolucja duchowa wojska polskiego szła swoimi drogami. Po raz pierwszy w dziejach armii polskiej zwyciężyła koncepcja pełnej motoryzacji, rozbudowy zaopatrzenia i transportu i, co może najważniejsze, możliwie wysokiego komfortu życia żołnierskiego" (str. 8). Brzmi to tak, jakby wojsko polskie wrogo odnosiło się do tych spraw i znagła dzięki szczęśliwej ewolucji duchowej przekonało się do nowoczesnych dobrodziejstw. Tak przecież nie było. Z próżnego i Salomon nie naleje.

Brygada Karpacka " . . . jako jedyna lądowa jednostka polska przetrwała wojnę . . ." (str. 8). Wojny nie przetrwała, bo nie istniała podczas Września; autorowi chodziło tu może o "przetrwanie" kampanii francuskiej. Jeśli tak, to odpowiadałoby to rzeczywistości, ale tylko formalnie, bo brygada nie brała w niej udziału. W podobnym sensie "przetrwały" wojnę nasze jednostki sformowane w Rosji, 1 Dywizja Pancerna i inne.

Również i twierdzenie, że bitwa pod Gazalą "było to pierwsze pełne zwycięstwo jednostki polskiej po Wrześniu 1939" (str. 31)—nie jest ścisłe. A Podhalanie pod Narwikiem? Aby wesprzeć słuszną pretensję Brygady Podhalańskiej i aby ustawić sprawy we właściwej perspektywie, dobrze by było znaleźć jakieś porównanie. Spróbujmy naprzykład porównać straty bojowe obu brygad, biorąc pod uwagę tylko ilości żołnierzy zabitych. Brygada Karpacka (posługując się danymi Bielatowicza) straciła 200 zabitych w ciągu 7 miesięcy walk (strony 33 i 34). Brygada Podhalańska — 96 w ciągu 1 i 1/2 miesiąca (uwzględniając cały czas trwania wyprawy do Norwegii, choć okres samych działań był bez porównania krótszy). Pierwsza traciła zatem przeciętnie każdego dnia działań jednego żołnierza zabitego, druga — dwóch (w rzeczywistości więcej). Porównanie nasilenia walk przy pomocy porównywania strat, przyznaję, wcale nie należy do metod ścisłych i może czasem prowadzić na manowce, daje jednak pewne wspólne wymiary. Udział Brygady Karpackiej w ogólnej ofiarze wojska na obczyźnie (5,000 poległych) wynosi 4%.

Błędne tłumaczenie angielskiego słowa "salient" na "wyłom". gdy znaczy ono po polsku "występ", nie popsuło ścisłości opisu działań obronnych w Tobruku i nawet raziłoby, gdyby określenia "wyłom" użyto bez zestawienia z odpowiednikiem angielskim.

Największym brakiem broszury Bielatowicza jest jej szczupłość, wypływająca stąd, że autor nie miał jeszcze możności uwzględnienia materiałów archiwalnych zarówno polskich jak brytyjskich, odnoszących się do dziejów brygady. Pozbawiło go to sposobności przytoczenia większej ilości szczegółów i cyfr co do napływu żołnierzy polskich do Syrii i wykazania w jaki sposób (poźniej) niepomyślny rozwój wydarzeń spowodował przybywanie do Palestyny elementów nie najbardziej potrzebnych brygadzie, lecz najbardziej zagrożonych lub mających szanse wydobycia się.

Z powodu tego braku cierpi poważnie całość "stosunków zewnętrznych" brygady i pomija się w broszurze koncepcje organizacyjne i operacyjne naczelnych władz polskich i brytyjskich. Naprzykład geneza utworzenia brygady datuje się już od grudnia 1939, przy czym myślano zrazu o całej dywizji z własną artylerią ciężką, baonem czołgów i dyonem lotnictwa. Dnia 30 grudnia gen. Gamelin zawiadomił gen. Sikorskiego o zgodzie na formowanie w Syrii zawiązku wojska polskiego, ale na razie w składzie jednej brygady.

Decyzja polityczna co do podjęcia walki z Włochami została powzięta o wiele wcześniej, niż by to zdawało się wynikać z daty przytoczonej przez Bielatowicza (15.IX.1941). Już w drugiej połowie 1940r. toczy się w tej sprawie korespondencja i Naczelny Wódz pisze do gen. Kopańskiego m. in: "W zasadzie wojny z Włochami unikam, w wypadku jednak uderzenia Włochów na kraj, w którym stoi Brygada Karpacka, podległa sojusznikowi brytyjskiemu, walkę należy przyjąć. *De facto* jesteśmy w wojnie z Włochami, a formalne wypowiedzenie wojny nie ma żadnego znaczenia".

Przed użyciem brygady w obronie Tobruku, Brytyjczycy proponowali rzucić ją nie tylko do Grecji na wionę 1941 do czego nie doszło, ale również chcieli ją skierować na front syryjski (w czerwcu) czemu sprzeciwił się Naczelny Wódz, nie godząc się na walkę z Francuzami.

Śliczny rozdział "Polska dumna z Brygady" zyska, gdy uzupełni się go porównaniem brygady do "skarbu narodowego", którego to wyrażenia użył gen. Sikorski na wieść o przesunięciu jej do odwodu do Cyrenajki.

Dość już tych tylko powodów (prócz wielu nie wymienionych, jak dotkliwy brak map i szkiców, lub odtworzenia genezy nazwy "Karpacka"), aby zobowiązać autora do jak najszybszego powtórnego wydania pracy, już w formie książkowej, rozwiniętej i uzupełnionej.

Powinno by w niej wystąpić wyraziście ogólne tło wojny w Afryce i konieczne byłoby dodanie części drugiej o dziejach Dywizji Karpackiej, która przecież "wzięła na własność sztandar, sławę i legendę Brygady".

Ale praca Bielatowicza i w obecnej postaci jest poważnym przyczynkiem historycznym, na bardzo wysokim poziomie. Należy wieść o niej rozpowszechniać i do czytania podawać.

SETNY

KULTURA I ŻYCIE

Styl recenzencki — Za dwa lata — Dostojewski w Hollywood — Życiorysy — Epigramaty prozą

KIEDY czytam w prasie rodzimej recenzje, zawierające sakramentalny zwrot "autor wzrusza nas do głębi swoją szczerą i niezałganą postawą" etc., współczuję wszystkim czytelnikom, przeżuwającym dziennikarską makulaturę, oraz wszystkim niedobitkom literatury, zabłąkanym na intelektualnej pustyni. Każda epoka ma swój katalog obiegowych frazesów, każdy kraj kręci swoje katarynki recenzenckie.

Ivor Brown parodiuje styl psychologizującego maniaka w książce *Say the Word.* Oto próbka:

"*Mr. X's failure to integrate his fundamentally nostalgic symbolism with the imperative demands of a personality essentially schizoid has provoked an anxiety neurosis resulting in an ideology irreconcilable with the over-all conditioning imposed by the managerial revolution's impact upon an inchoate capitalism. His constantly Narcissistic self-identification with all the traumata of his repressed diathesis has produced in his later writings a series of image-clusters which strikingly reveal a complete disassociation of his incipient Existentialism from his unconscious preoccupation with a subjective cognizance of reality*".

Kiedyś w przedwojennym *Pionie* ukazał się nabzdyczony artykulas, w którym recenzent pisał o pewnym boguduchawinnym autorze: . . . "w ezoterycznej, oczyszczonej z treści empirycznych postaci, odsłania fenomenologię współczesnej kultury francuskiej." Istotnie: standartowa krytyka, obojętnie czy polska, amerykańska czy też turecka, jest przecież idealnie "oczyszczona z treści empirycznych postaci". Ale snobizm przyklaskuje frazesom bez przerwy . . .

* * *

Przychodzą z Polski skąpe wiadomości o przygotowaniach w związku z rokiem chopinowskim, 1949. Stulecie śmierci Chopina jest rocznicą o znaczeniu międzynarodowym: powinniśmy się do niej przygotować zarówno w kraju, jak i na obczyźnie.

Instytut Chopina, którego przewodniczącym jest Adam Wieniawski, planuje uczczenie roku chopinowskiego. Głównym zadaniem te organizacji jest wydanie dzieł Chopina — w trzech tomach oraz w serii zeszytowej — które, oparte na rękopisach i pierwszych wydaniach, zostało przemyślane i opracowane przez Paderewskiego, Turczyńskiego i Bronarskiego. Podobno wydanie to gotowe już jest w znacznej części do druku. Dzieła wielkiego kompozytora cierpiały dotychczas na pełne błędów przedruki, którym — mamy nadzieję — położy kres autorytatywne wydanie Instytutu.

Stulecie Chopina zaćmi pewnie inną polską rocznicę: stulecie zgonu Juliusza Słowackiego. Dlatego, korzystając z dwu najbliższych lat, należałoby przygotować środowiska intelektualne za granicą do przyjęcia dorobku poetyckiego autora *Króla Ducha*, który jest jeszcze bardzo mało znany poza Polską. Przekłady utworów Słowackiego na francuski (dokonywane głównie przez Polaków) były zbyt słabe, żeby przekonać świat zachodni o wartości literackiej naszego czołowego romantyka.

Skoro już mowa o rocznicach, warto przypomnieć zainteresowanym literaturą angielską, że *Jane Eyre*, powieść Charlotte'y Bronte ukazała się po raz pierwszy w druku sto lat temu, w październiku 1847 r. Rzecz ciekawa, że niezwykła powieść jej genialnej siostry Emily (dziś o wiele wyżej cenionej od popularnej Charlotty), zatytułowana *Wuthering Heights*, ukazała się w tym samym roku. A więc podwójne stulecie dla familii Bronte . . .

* * *

Egzystencjaliści wrażliwi są na modę i sami umiejętnie podsycają snobizm czytelników, którzy rzucają się z nagłym entuzjazmem na zmurszałe wydania zapomnianych proroków. Powieści Dostojewskiego należą do stale czytanych klasyków, ale moda kawiarniana zrobiła naokoło nich egzystencjalny szumek — i stąd popyt na rynku księgarskim. Nie tylko księgarskim . . . Wrażliwy na modę Hollywood podaje do wiadomości, że wytwórnia *Metro-Goldwyn-Mayer* przygotowuje filmową wersję życiorysu Dostojewskiego. Ile w tej wersji będzie przeinaczeń, ile sentymentalizmu i patosu — trudno, jak na razie, przewidzieć. Hollywood nie podaje jeszcze, kto będzie grał rolę Dostojewskiego. Biuletyn wytwórni wymienia nazwisko producenta filmu, którym będzie Gottfried Reinhardt, syn znanego Maxa Reinhardta.

* * *

Życiorysy wielkich ludzi nęcą nie tylko powieściopisarzy i autorów scenariuszy, lecz także i dramaturgów.

Mercury Theatre w Londynie, wystawiający sztuki poetyckie, odstąpił na kilka tygodni od swojej tradycji i pokazał publiczności *The Shelley Story*, rzecz napisaną prozą, której autorem jest Guy Bolton. Dla smakoszów ciekawostek biograficznych prawdziwy to rarytas, bo obok poety i kolekcji rodziny Godwinów występuje w dramacie lord Byron, grany znakomicie przez J. Bailey'a. Autor ściśle trzyma się faktów, może nawet za ściśle — niektóre fragmenty dialogu trącą trochę stylem encyklopedii (sławne nazwiska i daty), ale na ogół Guy Bolton wybrnął dobrze z trudnego zadania, dając subtelny portret altruistycznego poety. Wydaje mi się, że ta wersja dramatyczna mogłaby posłużyć za wzór do scenariusza filmowego, gdyby któraś z wytwórni wybrała poetę do kolekcji popularnych sław (dotychczas producenci filmowi woleli muzyków).

W. G. Hole napisał sztukę o królowej Jadwidze, którą przystosowano do produkcji radiowej. B.B.C. nadawało tę wersję (*Jadwiga, Queen of Poland*) 15 września w *Home Service.* Sztuka jest przesycona tkliwością i daje zbyt uproszczoną charakterystykę polskiej królowej.

* * *

Cytat z Coleridge'a: "*Prose — words in their best order ; poetry — the best words in the best order*" nasuwa się także podczas lektury migawkowych felietonów Karola Zbyszewskiego, zebranych (a raczej wybranych) w tomie *Anglicy w dzień i w nocy* (Polski Instytut Wydawniczy, Bruksela, 1947). Są to słowa w najlepszym szyku prozy: epigramatyczność stylu Zbyszewskiego jest istotą jego humoru. Autor nie bez chełpliwości zauważa w przedmowie ('przedbzdurzu'), że niektóre z jego migawek starczyłyby na temat do noweli czy powieści: może i racja! — ale gdyby pozbawić felietony typu *To i owo* ich przyrodzonej kondensacji, gdyby je wytrącić z tego "najlepszego szyku prozy", który decyduje o indywidualności Zbyszewskiego, nuda zalałaby owe potencjalne tematy powieściowe i nowelistyczne: zamiast krótkich spięć humoru czytelnik poraziłby się monotonią codziennych głupstw, własnego i cudzego chowu.

Podobno ktoś kiedyś zuważył, że Zbyszewski będzie polskim Dickensem, — była to uwaga w stylu arcypolskim, ale, niestety, nie bardzo inteligentna: gaduła i sentymentalista Dickens, który im dalej w lata tym bardziej rozwadniał swój styl, był narratorem, a nie felietonistą. Bliższy jest Zbyszewski Rzymianinowi Martialisowi, niż wszystkim krajowym i nie-krajowym dickensom. Martialis tak odpowiedział głupawemu czytelnikowi:

"*Scribere me quereris, Velox, epigrammata longa, ipse nihil scribis, tu breviora facis.*"

To samo może odpowiedzieć swoim życzliwym doradcom autor *Anglików w dzień i w nocy.*

Zbawienne lenistwo Zbyszewskiego uchroni go jednak od zdrady sztuki epigramatycznej, tak jak natchnione lenistwo ratuje wielu liryków od milowych eposów.

Omawiany zbiór felietonów jest także symptomatyczny dla życia na emigracji: oto humorysta coraz mniej pisze o rodakach, a coraz więcej o tubylcach. Anglicy i w dzień i w nocy są śmieszni, bo żyją na własnym gruncie: śmieszność Polaków na tle zastanego środowiska obcego jest śmiesznością tak innego i złożonego typu, że pioro Zbyszewskiego, nazbyt skłonne do lapidarności, woli nie stawiać kropki nad "i". W ten sposób wyraża rodzimy Martialis swoją niechęć do satyry i dydaktyki, a skłonność do pełnej aprobaty rzeczywistości poprzez humor.

J.P.

Londyn, 20 września 1947 r.

Errata.

Do wiersza pt. *Norwid* Jerzego Pietrkiewicza w poprzednim numerze *Myśli Polskiej* wkradło się kilka błędów korektorskich. Linijka 3. powinna brzmieć : "znad zaścianków, *przysiółków* ranne wstały zorze", linijka 4. : "jak trudno milczącemu *od-począć* tu w mowie", linijka 16. : "Tobie kołodziejowych jak się *dokuć* rysów".

W dziale *Kultura i życie* w łamie drugim ma być : "ze szkodą dla zagadnień czysto *filologicznych*", zamiast filozoficznych.

PAMIĘTAJ,

że "Myśl Polską" czytają rodacy we wszystkich skupiskach polskich rozsianych po świecie,

że przepisy dewizowe większości krajów nie pozwalają czytelnikom przekazywać prenumeraty,

że wobec tego pokrycie kosztów wydawnictwa maleje.

Jeżeli doceniasz wagę istnienia i rozwoju naszego pisma, opłacaj regularnie prenumeratę oraz zasilaj Fundusz Wydawniczy "Myśli Polskiej".

O POLSCE I ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Prasa angielska wykazywała ostatnio sporo zainteresowania polskimi ziemiami nad Odrą.

Dwa lewicowe tygodniki angielskie, *The New Statesman and Nation* w numerze z 23 sierpnia oraz *Tribune* w numerze z 22 sierpnia, zamieściły artykuły o Polsce i Ziemiach Odzyskanych.

Na ten sam temat ukazał się m.i. obszerny reportaż Aleksandra Wertha, w *Manchester Guardian* z 3 i 4 września.

Kingsley Martin, sprawozdawca *The New Statesman*, poświęcił wstępne uwagi swych wrażeń porównaniu Polaków z Czechami. "Czesi wydają mi się bardzo podobni do Brytyjczyków — pisze p. Kingsley Martin —, są oni bardzo nacjonalistycznie nastawieni, lecz solidni, nieomalże flegmatyczni, pełni zdrowego rozsądku, wierzą w komfort i demokrację mieszczańską . . . . Czechy zostały formalnie odzyskane dla katolicyzmu w XVII wieku, lecz w istocie są one nadal protestanckie . . . . W Polsce atmosfera jest całkiem odmienna. Wszędzie kościół, ksiądz i nabożne tłumy. . . . . Polacy są uparcie romantyczni, jakkolwiek ostatnie tragedie wybiły im częściowo romantyzm z głowy w sposób brutalny. W Warszawie poprowadzą was do ruin starego miasta i, jeśli tylko chcecie słuchać, opowiedzą jakąś aż nadto prawdziwą historię o daremnym męstwie, torturach, morderstwach i zniszczeniu . . . . Jednak nawet obecnie Polacy w przeciwieństwie do Czechów nie specjalizują się w zdrowym rozsądku."

Niewątpliwie p. Kingsley Martin ma tu na myśli ducha oporu, z jakim spotkał się u Polaków w stosunku do obecnego okupanta. Uwagi jego jednak mają znaczenie szersze. Są one bardzo charakterystyczne dla sposobu, w jaki przeciętny Anglik ocenia pewne przejawy bezkompromisowej i otwartej walki, którą Polska wypowiadała zawsze najeźdźcom. Czeskie metody są o wiele bliższe i bardziej zrozumiałe dla współczesnego Zachodu, który zresztą sam je zastosował. Jeśli Anglia w tym względzie była wyjątkiem, to tylko i wyłącznie dlatego, że w czasie ubiegłej wojny uniknęła sytuacji, w jakiej znalazły się Czechy i Francja.

O poziomie informacji p. K. Martina świadczy wymownie wzmianka o polskich przywódcach, którzy "woleli walczyć samotnie, niż przyjąć pomoc rosyjską w 1939 r." P.K. Martin nie może nie znać faktu powszechnie już ustalonego, że pomoc rosyjska ofiarowana była w 1939 roku Niemcom, nie Polsce. Perfidna gra sowiecka w przeprowadzeniu rokowań z Niemcami i Aliantami została już dostatecznie naświetlona.

P.Kingsley Martin wyraża się pochlebnie o polskiej akcji osiedleńczej na Ziemiach Odzyskanych i widzi wszędzie stabilizację. Uważa on, że osiedleńców zaczyna opuszczać obawa przed wojną między Zachodem a Rosją, a niepokój budzi jedynie postawa zachodnich aliantów, nie chcących uznać obecnych granic.

Reginald Holt poświęca swój artykuł w *Tribune* Śląskowi. W przeciwieństwie do Kingsley Martina nie jest on bezkrytyczny i nie wprowadza do swego artykułu urzędowego optymizmu pochodzącego z wiadomych źródeł propagandowych. Ale i on nie widzi, lub nie chce widzieć pewnych zjawisk. Pomijamy już ścisłość twierdzenia, że polscy przesiedleńcy z za Bugu dobrze wyszli na zamianie swych siedzib na solidne zabudowania poniemieckie na Dolnym Śląsku. Ale autor ponad to bardzo lekko traktuje cały problem przymusowego wysiedlenia milionów Polaków z ich siedzib. "Ludzie ci zrzędzą, jak zrzędzić będzie każdy wieśniak, wyrwany z otoczenia, do którego się przyzwyczaił" pisze p. Holt. Nasuwa się wątpliwość, czy w takim wypadku tylko wieśniak będzie "zrzędził", jak to określa p. Holt. Ciekawe co by sam autor zrobił, gdyby mu którego dnia kazano szybko spakować manatki i opuścić na zawsze *sweet home.* Bardzo charakterystyczna jest dla ludzi typu p. Holta ta niefrasobliwość, z jaką traktuje się podstawowe prawa jednostki, gdy tylko nie wchodzą w grę interesy własnych ziomków.

P. Holt widzi jednak liczne niedomagania obecnej gospodarki na Ziemiach Odzyskanych. Zdaniem jego przed rokiem 1949 nie przewiduje się obsiania całej ziemi uprawnej. Zarobki robotnika polskiego są niższe niż przed wojną. Pracuje on wiele godzin, a otrzymywane przezeń przydziały żywnościowe i odzieżowe wystarczają zaledwie na pokrycie potrzeb jednej osoby. Utrzymanie rodziny to nieustanna walka. Mimo braku oficjalnych danych jest rzeczą znaną, że Rosja płaci Polsce poniżej 2 dolarów za tonę węgla, gdy cena eksportowa wynosi 10 dolarów bez dostawy.

Nie ulega wątpliwości, że ton optymizmu, jaki przebija z obydwu artykułów angielskich o Polsce, wypływa w znacznej mierze z politycznego nastawienia czasopism, które je ogłosiły, a których pozytywny stosunek do "nowego porządku" w Europie jest znany, zwłaszcza jeśli chodzi o *The New Statesman.*

Odmienny charakter ma artykuł Wertha w *Manchester Guardian.* Wprost trudno uwierzyć, że tak spokojny i rzeczowy reportaż mógł ukazać się w dzienniku, który aż do przewrotu hitlerowskiego przodował w prasie angielskiej w szerzeniu sympatii dla Niemiec, a który do roli tej zdawał się powracać ostatnio m. in. w opisach rzekomo nieludzkiego traktowania Niemców przez Polaków.

Ciekawa jest uwaga Wertha, że "Polacy nie lubią twierdzenia, iż aneksja wschodnich Niemiec jest "kompensatą" za ziemie utracone na rzecz Rosji na Wschodzie. . . . Wolą oni uważać je za odszkodowanie od Niemiec . ."

Za jedną z najbardziej uderzających rzeczy Werth uważa okoliczność, że na nowych ziemiach Polacy czują się zupełnie u siebie. "Wszystkie napisy są w języku polskim — pisze autor — W sobotni wieczór centrum Szczecina . . . rozbrzmiewa polskimi śpiewami, wśród których nie brak mocno antyrosyjskich."

Daje się zauważyć ostrożność, jeśli chodzi o osiedlanie się w pobliżu granicy, lecz nieco dalej w głębi kraju panuje, zdaniem Wertha, pełna ufność, że ziemie te "są i pozostaną Polską".

Autor twierdzi, że z reguły, gdzie jest dosyć budynków mieszkalnych, tam nie brak ludzi do pracy. Obawiano się pierwotnie, że Polska powojenna z jej 24-milionową ludnością nie będzie w stanie zagospodarować nowych obszarów, tymczasem obecnie grunta leżące odłogiem widzi się tylko tam, gdzie na skutek poważniejszych zniszczeń wojennych brak całkowicie pomieszczeń dla ludności.

Na Śląsku wciąż jeszcze brakuje bydła, koni i innych środków pociągowych. "Nie jest to znów taki rejon pokazowy — pisze Werth —, jak niektórzy usiłowali mi wmówić w Warszawie. . . . Gdy jednak wracam myślą do roku 1945, do opuszczonych nieużytków Śląska, do jego ruin, wyludnionych wsi i miast i porównywam z tym, co widzę teraz, wówczas jasnym się staje, że Polacy pracowali niezwykle ciężko i nie zmarnowali pierwszych dwuch lat powojennych".

Artykuły niepozbawione są dla nas pozytywnego znaczenia, utrwalają bowiem w opinii brytyjskiej świadomość obecności Polski nad Odrą. FR. ST.

LISTY DO REDAKCJI

(*Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy*)

WSCHODNIA GRANICA POLSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule moim, zamieszczonym pod powyższym tytułem w nr. 114 *Myśli Polskiej* z września br., zauważyłem błąd, który pragnąłbym skorygować.

W pierwszym ustępie artykułu, w piątym zdaniu opuszczono szereg wyrazów, zniekształcając jego sens. Zdanie to miało opiewać: *Polska nie byłaby zachowała niezawisłości wobec Cesarstwa, gdyby za Piastów nie była znalazła na południowym wschodzie warunków współpracy z Węgrami lub z poszczególnymi księstwami ruskimi.*

Chciałbym przy tej okazji dorzucić parę uwag w związku z tematem mojego artykułu ze względu na pewne komentarze, z jakimi się spotkałem. Z paru stron zapytywano mnie, jak rozumiałem jedno z moich końcowych zdań, że *jedynymi, prawdziwymi partnerami naszej wschodniej granicy są tylko Polska i Rosja.* Twierdzenie to logicznie wypływało z poprzednich wywodów, gdzie wskazywałem na *międzynarodowy* aspekt zagadnienia wschodniej granicy Polski, w którym dotychczas i nadal jeszcze znaczenie posiadają tylko i wyłącznie względy na Rosję lub na Polskę i w którym czynnikami decydującymi były tylko Rosja i Polska. Zresztą autorami traktatu w Rydze i granicy ryskiej były Polska i Rosja. Jest to stan faktyczny, który nie ma nic wspólnego z naszym stosunkiem do aspiracyj Ukraińców — o ile nie są one skierowane przeciwko całości Polski — lub sprawą niepodległości Litwy, której została ona bezprawnie pozbawiona.

Zapytywano mnie również, czy poglądy, które wypowiedziałem w moim artykule (i w artykule na ten sam temat we "Lwowie i Wilnie"), są oficjalnym stanowiskiem Związku Ziem Południowo-Wschodnich którego jestem prezesem. Odpowiem na to, że artykuł mój (także i poprzedni) pisałem we własnym imieniu, jakkolwiek nie wątpię, że poglądy moje pokrywają się z poglądami większości członków tego Związku — i w ogóle większości Polaków, wyczuwających naszą rzeczywistość polityczną.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów) 12s. lub $4.
Prenumerata rocznie (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. October, 1947.